Międzynarodowa Odznaka Turystyczna Łódź

36 Rok XVI (825)

CENA 1.50 ZŁ

9.9.73.

SOPOT CZYLI PRZECIĘTNOŚĆ DOSKONAŁA

ODGŁOSY

TYGODNIK SPOŁECZNO • KULTURALNY

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

ZAPISKI Z MŁODEGO KRAJU

Przyjechać na Białoruś to niemal tyle co trafić do siebie. Pociąg z naszą delegacją Związku Literatów Polskich biegł z Moskwy do Mińska w rytmie wiersza Janki Kupały, pierwszego poety Białorusi.

Polały się łzy me czyste
Na ostrowy wierzb rzęsiste
I na krzywe wiosek płoty,
Na głuchoty, na ślepoty.

Polały się łzy me czyste
Na bezdroża, drogi mgliste,
Na zbroczone krwią polany,
Zapomniane już kurhany...

Echa mickiewiczowskie, tak przecież wyraźne, splatały nam się ze swojskim pejzażem, odbitym w jeziorach i rzekach, przetykanym dolinami i lasami. Ale to były zaledwie przeczucia, jakieś domysły, miłe spodziewania. Na stacji w Mińsku Białoruskim witał nas nienaganną polszczyzną Mikołaj Tatur, znany prozaik, a także tłumacz „Moralności pani Dulskiej", Brandysa, Lema, Centkiewiczów i Jurgielewiczowej. I tak to się zaczęło.

Dekada Książki Polskiej, a z tej właśnie okazji bawiła nasza delegacja w Związku Radzieckim, obchodzona była na Białorusi nie tyle może uroczyście, ale — jakby tu powiedzieć — właśnie swojsko, bardzo naturalnie, w najbardziej oczywisty sposób. W księgarni, niedaleko naszego hotelu, można kupić polskie książki. Zjechali także nasi przedstawiciele znanej firmy ARS POLONA i sprzedawali polską prozę, poezję, pamiętniki, albumy. Stoiska, któreśmy zdołali obejrzeć — bardzo bogate.

W dzień naszego narodowego święta, 22-go lipca, urządzono wieczór autorski, podczas którego wystąpili nasi pisarze i białoruscy. Niezapomniany wieczór, któremu patronowało miasto, a już osobliwie wielka fabryka łożysk kulkowych, która — obok fabryki traktorów i samochodów — stanowi dumę Białoruskiej Republiki Radzieckiej. Ludzi dużo a niemal wszyscy doskonale rozumieli po polsku, byli to prawdziwi czytelnicy naszej literatury. Opowiadano nam, że ludzie ci potrafią przemierzyć dziesiątki kilometrów, aby kupić naszą książkę. Przyznam, że początkowo wydawała mi się ta informacja nieco przesadzona, u nas tak się po książkę nie biega. Wątpliwości rozproszył nasz wspólny wieczór autorski. Tadeusz Chróścielewski, czytał swój przekład wiersza Janki Kupały. I ledwie tylko powiedział pierwszą zwrotkę — „A kto tak śpieszy przez błota, przez knieje? A co to za tłum tam na polu gęstnieje? — Lud Białej Rusi?". Ledwie te słowa powiedział, a już huczały brawa.

Nasi białoruscy koledzy odpowiadali polskimi wierszami w ich przekładzie. Józef Siemieżon, profesor anglistyki, poeta, krytyk, a równocześnie tłumacz z polskiego, zaprezentował rzeczywiście piękny przekład z Tuwima, wiersz emigracyjny, stęskniony za szarą Łodzią i jej ulicami. Anatol Wertyński czytał „Kołysankę" łódzkiego poety J. M. Kononowicza w swoim przekładzie.

Trudno przekazać piórem tę szczególną atmosferę naszego spotkania z białoruskim czytelnikiem. W każdym

Dalszy ciąg na str. 3

Co jakiś czas napływają do mnie różnymi kanałami skargi na Pogotowie Ratunkowe. Ostatnio miałem sposobność rozmawiać z pewnym inżynierem i jego żoną (nazwisko i adres znane redakcji). Opowiedzieli mi historię, którą po długich namysłach postanowiłem podzielić się z Czytelnikami...

ANDRZEJ MAKOWIECKI

ZAWAŁ

ARTYKUŁ DYSKUSYJNY

Otóż przed paroma tygodniami, dokładnie: szesnastego lipca 1973 roku, zasłabła nad ranem mieszkająca z nimi ciotka. Była to kobieta sędziwa, bliska osiemdziesiątki, nie przejawiająca bynajmniej skłonności do hipochondrii, unikająca na co dzień gderań i jęków, toteż jej gwałtowna niedyspozycja przeraziła domowników i wspomniany inżynier niezwłocznie zaalarmował Pogotowie.

Nietrudno przewidzieć, że dyspozytorka odniosła się do sprawy sceptycznie. Tak czy owak, w pół godziny później przyjechała oczekiwana karetka i młody lekarz zaczął chorą badać. Akcja ta nie trwała dłużej niż trzy minuty: puls, środki przeciwbólowe, parę słów do zmarkotniałej rodziny, z których niezbicie wynikało, że wszystkiemu winna pogoda: skoki ciśnień, raz gorąco raz zimno, no i, rzecz jasna, wiek też ma swoje znaczenie... Na koniec (i na wszelki wypadek) wcisnął staruszce pod język kulecz-ke nitrogliceryny, ale nie czekał już (jak to jest w lekarskim obowiązku i zwyczaju) na wynik owej terapii, tylko zabrał się i wyszedł, stawiając optymistyczne raczej horoskopy.

Chora tymczasem czuła się coraz gorzej. Inżynier, który jest wprawdzie wybitnym specjalistą od komputerów, na sztuce medycznej zna się słabo. Jednakże pewne, zasłyszane tu i ówdzie wiadomości zaczęły kiełkować mu w głowie groźnym podejrzeniem. Czy ten lekarz aby się nie myli? Pogoda pogoda, ale ciotkę boli pod mostkiem, zdrętwiało jej aż po łopatkę lewe ramię, ma duszności; płytki, chaotyczny oddech i nierówne, z trudem wyczuwalne tętno; w dodatku poci się, leci przez ręce...

Wziął na śmiałość i ponownie zadzwonił do Pogotowia. Jakkolwiek jednak sugestywnie przedstawił nurtujące chorą cierpienia, spotkał się z ostrą odprawą i dyspozytorka cisnęła słuchawkę na widełki.

Zwykły śmiertelnik poczułby się zapewne w tej sytuacji bezradny. Ale inżynier miał lekarza w rodzinie i natychmiast ściągnął go do chorej. Nie trzeba dodawać, że już pierwsze, powierzchowne badanie potwierdziło najgorsze obawy.

Pomiędzy lekarzem a inżynierem nastąpił taki mniej więcej dialog:

— To jest zawał.

— Przecież mówiłem ci, że to jest zawał.

— Musimy wezwać Pogotowie.

— Kiedy nie chcą przyjechać.

— Jak ja zadzwonię, to przyjadą...

I zaczął dzwonić.

Przedstawił się jako lekarz, ale nie zrobiło to na dyspozytorce większego wrażenia. Trwała jakiś czas na linii ożywiona dyskusja, w której lekarz wyłuszczał grzecznym tonem swoje racje, natomiast dyspozytorka kontrowała go gradem lodowatych słów, poddając w wątpliwość jego zawodowe kwalifikacje.

Wątpliwości te udzieliły się w jakiś cudowny sposób innym pracownikom Pogotowia, bo skoro po upływie godziny karetka zajechała wreszcie po raz drugi pod dom, pojawiająca się w drzwiach młoda lekarka nie od razu rzuciła się chorej na ratunek, zaatakowała natomiast z furią sprawcę wezwania.

Odbyła się między stronami taka mniej więcej wymiana zdań:

— I pan jest lekarzem?!

— Tak.

— I nie wie pan, że Pogotowie nie jest po to, żeby jeździć do każdego widzimisię?!

— Bardzo pania przepraszam — mówił grzecznie lekarz, tracąc powoli zimna

Dalszy ciąg na str. 6

ANDRZEJ GRUN

TROSZCZMY SIĘ, RODACY...

Pracujemy, budujemy, pomnażamy, wdrażamy postęp i automatyzację, inwestujemy, planujemy perspektywicznie w produkcji, kulturze i życiu prywatnym, modernizujemy, szkolimy, kształtujemy, eksportujemy, wymieniamy i nawiązujemy. I to są parametry, które wyznaczają nasze miejsce na mapie Europy i świata. Na mapie współczesności. Są to drogi do jutra dostatniejszego, do Polski bogatszej,

Dalszy ciąg na str. 9

WIESŁAW GARBOLIŃSKI — „Kopernik" (olej).

ZŁODZIEJE POMIDORÓW

Sprawozdawcy sądowi czasopism kulturalno-społecznych coraz częściej ubolewają nad degrengoladą świata przestępczego. („Stylowy włamywacz z dawnych czasów, gdyby obrobił pijanego gościa na ulicy, przestałby się liczyć w środowisku jako fachowiec"). To „Kultura".

Ranga zawodu złodzieja upadła widocznie tak nisko, że już nie tylko sprawozdawcy sądowi biją na alarm, ale nawet publicyści społeczno-obyczajowi wyrażają swój niepokój. („Sytuacja jest tak zła, że proces wykolejania przestępcy w zakładzie karnym jeszcze się pogłębia"). To „Polityka".

Co pisze na ten temat „Prawo i Życie", lepiej nie wspominać, natomiast warto zacytować po raz wtóry „Kulturę": „W podziemiu kryminalnym szerzy się chamstwo i tępota. W środowisku ginie resztka moralności i zanika nawet sprawiedliwa i praktyczna zasada, że okrada się ludzi najbogatszych."

Święte słowa. Świat przestępczy zupełnie jak świat uczciwy w szybkim tempie nam wyrodnieje, szerzy się w nim ignorancja, dyletantyzm, indolencja, uwiąd inwencji, brutalność, łatwizna i nieuczciwość. Rzadko który pajęczarz potrafi dziś posługiwać się wytrychem, wszyscy używają przeważnie łomu. Doliniarze w ogóle wyzbyli się resztek honoru zawodowego, grabią tylko pijaków. Młodzi absolwenci złodziejskich uniwersytetów, ażeby przejechać się samochodem, mordują w tym celu kierowcę. Środowisku grozi analfabetyzm wtórny. Kryminalista z dyplomem średniej szkoły zawodowej rozbija szybę wystawową za 500 zł, demoluje wnętrze sklepu na sumę 10.000 zł, by skraść butelkę wina wartości 20 zł. Wyrządza duże szkody, by mieć małe korzyści. Wszystko idzie na łatwiznę, zanika kunszt i mistrzostwo w opanowaniu fachu, stąd też najprawdopodobniej szerzy się w podziemiu przestępczym amatorstwo.

Ofiarami tego braku rzetelności zawodowej i zaniku kwalifikacji moralnych w rozpadającym się świecie kryminalnym padają na naszym terenie szczególnie naukowcy z Instytutu Warzywnictwa w Skierniewicach. Ślęczą oni całymi godzinami, dniami, tygodniami, miesiącami i latami nad jakąś krzyżówką cebuli, ogórka, majeranku czy pomidorów, a kiedy uda im się wyhodować w końcu nową heterozyjną odmianę wtedy zakradają się na poletko doświadczalne jacyś złodzieje-ignoranci i kradną oraz niszczą owoce wieloletnich wysiłków. Powodują straty niepowetowane, cofając naukowe osiągnięcia o lata całe.

Magister Janina Bażant wyhodowała nową odmianę ogórków szklarniowych, odpornych na szkodniki. Poświęciła na to dwa lata swego życia i oto w chwili, kiedy najlepsze okazy nowej odmiany znajdowały się w fazie dojrzałości konsumpcyjnej, a co najważniejsze, nasiennej, zostały skradzione w nocy z 19 na 20 kwietnia br. Złodzieje zabrali 5 kg ogórków, wartości rynkowej w owym czasie około 200 zł. Tymczasem samoistna wartość naukowa tych ogórków obliczono na 200.000 zł, nie mówiąc już o tym, że zniszczenie jedynych egzemplarzy nasienników jest równoznaczne ze zniszczeniem nowej odmiany ogórków, a więc cofnięciem nauki na tym polu co najmniej o kilka lat.

Tego typu incydenty w skierniewickim Instytucie Warzywniczym wcale nie należą do rzadkości. Niedawno w Zakładzie Hodowli Roślin tego Instytutu zginęło półtora kilograma pomidorów o unikalnej wręcz wartości. Okazało się, że skradł je niejaki Jan Derka na zakaskę do wódki. Cena rynkowa tych pomidorów wyniosła 50 zł, więc sprawa kwalifikuje się jedynie do kolegium. Ponieważ złodziej nie zdawał sobie sprawy z rzeczywistej wartości owych pomidorów, to według naszego prawa odpowiada tylko za ich wartość spożywczą. Tymczasem 1 kg pomidorów wyhodowanych w Instytucie drogą długich, żmudnych i różnorodnych eksperymentów oblicza się na 250.000 zł. Niestety, nieświadomość przestępcy chroni go przed odpowiedzialnością w takim wymiarze. Zamiast przed sądem odpowiadać za wyrządzenie szkody wartości ćwierć miliona złotych, odpowiada przed kolegium za przywłaszczenie złotych dwudziestu pięciu.

Jak widać okazuje się, że przeciwko ludzkiej tępocie i nikczemności nawet prawo jest bezsilne. Jednym z najbardziej poszkodowanych przez złodziei-dyletantów jest w Instytucie Warzywniczym w Skierniewicach dr Roch Doruchowski. Amatorzy kapusty i cebuli kilkakrotnie już przekreślali jego wieloletni dorobek naukowy. Do tej pory żadni przestępcy nie zostali wykryci. Zresztą na przestrzeni ostatnich lat nie udało się ani zabezpieczyć i ochronić Instytutu przed szkodnikami społecznymi, ani ich schwytać. Rozumiem, że kwalifikacje złodziei się ciągle obniżają, ale chyba nie powinny podążać za nimi kwalifikacje ludzi odpowiedzialnych za bezpieczeństwo mienia społecznego.

KAROL BADZIAK

DRUGI ROK REFORMY

Już za nami rozpoczęcie kolejnego roku szkolnego. Prawie siedem milionów uczniów podjęło codzienny trud zdobywania wiedzy. Nauczyciele i wychowawcy, administracja szkolna stanęły wobec nowych, niełatwych zadań jakie wynikają z kontynuacji reformy szkolnictwa.

„Nie będzie to rok łatwy – powiedział minister Oświaty i Wychowania Jerzy Kuberski – z uwagi na nowe przedsięwzięcia zmierzające do podniesienia poziomu nauczania, jak też pogłębiania i wzbogacenia pracy wychowawczej. Jest to już drugi rok konsekwentnej realizacji programu nakreślonego przez resort, opartego o Uchwały VI Zjazdu partii. W poczynaniach tych przyświeca nam generalna myśl: nie rezygnując z wysokich wymagań młodzieży, a odwrotnie, stawiając coraz ambitniejsze cele i zadania, równocześnie dążymy do tego, by uczynić szkołę bliższą uczniowi."

Hasło: szkoła w pełni odpowiadająca potrzebom społecznym, nie jest nowe. Jednakże od niedawna jest traktowane z należytą powagą i konsekwencją. I to od najniższego szczebla, od przedszkoli, od pierwszego, a przez to bardzo ważnego, momentu w wieloletniej edukacji. Zmniejszenie liczebności klas i zniesienie drugoroczności w klasach I–IV winno skutecznie wpłynąć na bezkonfliktowe wdrożenie najmłodszych do obowiązków uczniowskich.

Niezmiernie ważną sprawą jest stworzenie dla starszej młodzieży zróżnicowanych programów nauczania. Wiemy przecież, że ok. 10 proc. młodzieży ma trudności z opanowaniem „normalnego" programu nauczania. A z drugiej strony mamy część młodzieży wybitnie uzdolnioną, która wiedzą i rozwojem intelektualnym znacznie przerasta swych rówieśników. Od bieżącego roku rady pedagogiczne szkół podstawowych i liceów ogólnokształcących będą mogły w czasie roku szkolnego takich uczniów przenosić do klas wyższych. Ponadto zwiększono liczbę szkół dla młodzieży o uzdolnieniach lingwistycznych, powstały pierwsze szkoły o profilu sportowym, a w miastach uniwersyteckich powołano klasy dla młodzieży o uzdolnieniach matematycznych – gdzie zajęcia z matematyki prowadzić będą pracownicy wyższych uczelni.

Poważne zmiany będą mieć miejsce w szkolnictwie zawodowym. Podobnie jak na wyższych uczelniach technicznych odchodzi się od obowiązującej do niedawna koncepcji wąskich specjalizacji na rzecz szerokiego, wszechstronnego przygotowania ułatwiającego absolwentom szybką adaptację zawodową w miejscu pracy.

Według zapewnień ministra Kuberskiego od bieżącego roku uczniowie przestaną być najciężej pracującymi, bo po 10–12 godzin dziennie. Skończy się zmora wkuwania faktów i faktów, z korzyścią dla zdrowia uczniów, a bez straty dla autentycznej wiedzy. Zmniejszenie nadmiaru informacji i faktograficznych szczegółów pozwoli na rozwijanie umiejętności samodzielnego myślenia i rozwiązywania problemów.

O nowe elementy wzbogaci się praca wychowawcza szkół. Ocena postawy ucznia oparta będzie o nowe zasady, zastąpi stary „stopień ze sprawowania" nie mający do tej pory praktycznie żadnego znaczenia. Na świadectwach szkolnych odnotowane będą osobiste osiągnięcia ucznia, np. udział w olimpiadach. Praca społeczna na rzecz szkoły i środowiska traktowana będzie jako konkretny obowiązek. Na formowanie uczniowskiej społeczności i ściślejsze związki każdego ucznia ze swoją szkołą będą mieć różnorodne zajęcia pozalekcyjne rekreacyjne i sportowe. To duża szansa dla właściwego ukierunkowania „wyżycia" się młodzieży, pobudzanie ambicji i aktywności młodych ludzi.

W bieżącym roku szkolnym rozpoczęło działalność ponad 700 zbiorczych szkół gminnych. (W ub. roku szkoły tego typu działały na zasadzie eksperymentu w 12 gminach). Władze oświatowe i administracyjne podjęły zadanie bardzo trudne. Szkoła gminna to przecież sprawa zarówno bazy materialnej, odpowiedniej ilościowo i jakościowo kadry nauczycieli specjalistów – jak również organizacja dojazdu dla dzieci mieszkających w dalszych odległościach od szkoły zbiorczej. Wyrównanie poziomu nauczania między szkołami miejskimi i wiejskimi, a to zapewnia szkoła gminna odpowiednio zorganizowana, jest koniecznością. Jednoznacznie i bardzo dobitnie określił to minister Kuberski: „Przebudowa szkolnictwa na wsi zadecyduje o przyszłości całej naszej oświaty". Już w niedalekiej przyszłości, z uwagi na zmiany demograficzne, wieś stanie się głównym źródłem młodzieży do szkół średnich, a co za tym idzie – do uczelni i całej gospodarki. Dlatego też wykształcenie młodzieży wiejskiej musi dorównać wykształceniu dzieci w miastach.

Współpraca szkoły z rodzicami to również sprawa pierwszorzędnej wagi. Opracowanie nowego regualminu komitetów rodzicielskich, zatrudnienie pedagogów w miastach, a zastępców dyrektorów w szkołach gminnych d/s wychowawczo-opiekuńczych – powinno poważnie wpłynąć na ukształtowanie się właściwego klimatu wychowawczego w szkole i w miejscu zamieszkania. Odpowiedzialność za młode pokolenie nie może być wyłącznie sprawą szkoły, ale i także rodziców – czyli nas wszystkich. W drugim roku realizacji reformy szkolnictwa należy o tym szczególnie pamiętać. To przecież początek, start, a te jak wiadomo – niełatwe.

J. ŻAK

W NAJBLIŻSZYCH NUMERACH:

- **Rozmowa z KAZIMIERZEM KUTZEM**
- **ZOFIA TARNOWSKA — Tropami dawnych lat**
- **FRANCISZEK LEWANDOWSKI — Rajmund Rembieliński, twórca Łodzi przemysłowej**
- **JAN OKOPIEŃ: „Co oferują wydawcy"**
- **TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI — o swojej twórczości**
- **JERZY WAWRZAK: Harcerskie lato**

ZE ŚWIATA

- CZWARTA KONFERENCJA NIEZAANGAŻOWANYCH
- PRZYGOTOWANIA DO II ETAPU EUROPEJSKIEJ KONFERENCJI
- ZJAZD, KTÓRY ODBYŁ SIĘ W TAJEMNICY PRZED ŚWIATEM

Kiedy Czytelnicy wezmą do rąk ten numer „Odgłosów" – W ALGIERZE ODBYWAĆ SIĘ BĘDZIE KONFERENCJA NA SZCZYCIE KRAJÓW NIEZAANGAŻOWANYCH. W ub. tygodniu komitet przygotowawczy konferencji powziął decyzję, wprowadzającą w skład trzpy stałych członków 9 dalszych państw. Tak więc liczba uczestników znów się rozszerzy. Jest to miarą roli, jaką w świecie spełnia ruch krajów niezaangażowanych.

Konferencja algierska jest czwartą. Trzy poprzednie odbyły się: w Belgradzie w 1961 roku, Kairze w 1964 roku oraz w Lusace (Zambia) w 1970 roku.

Kierunek n' zaangażowania w polityce zagranicznej krajów tzw. trzeciego świata zaczął się krystalizować w latach pięćdziesiątych, kiedy to powstało wiele niezależnych państw. Na ich czele stała przeważnie burżuazja narodowa, która nie chciała się łączyć z żadnymi ugrupowaniami państw imperialistycznych, ale też obawiała się zbliżenia do wspólnoty krajów socjalistycznych. W ten sposób powstała „polityka niezaangażowania", a ważną rolę w jej krystalizowaniu spełniło spotkanie przedstawicieli 29 krajów Azji i Afryki w 1955 roku w Bandungu. I choć spotkania tego nie wlicza się do chronologii konferencji – praktycznie dało ono początek ruchowi niezaangażowanych. Z każdym też rokiem ruch ten nabierał znaczenia w walce z imperializmem i kolonializmem, a pojęcie „niezaangażowania" otrzymywało nową treść. Dziś – z perspektywy minionych lat – można stwierdzić, iż kraje te mają niemały wkład w utrwalanie pokoju.

Konferencja w Algierze zebrała się w sytuacji ogólnoświatowej zupełnie odmiennej niż ta, która towarzyszyła poprzednim. Nie wygasły wprawdzie wszystkie sytuacje konfliktowe, ale świat zmierza wyraźnie ku powszechnemu odprężeniu. Kiedy więc mniejsze jest niebezpieczeństwo wojny, a współzawodnictwo dwóch systemów ma przede wszystkim charakter polityczny i gospodarczy – z pewnością uczestnicy czwartej konferencji szukać będą nowej definicji niezaangażowania. Ich obrady ogniskować się będą wokół oceny aktualnej sytuacji międzynarodowej i skoordynowanego działania państw niezaangażowanych w umocnieniu pokoju i bezpieczeństwa narodów. Dlatego też konferencja algierska jest ważnym wydarzeniem międzynarodowym.

Innym wydarzeniem ostatnich dni jest PODJĘCIE PRACY PRZEZ KOMITET PRZYGOTOWAWCZY II ETAPU EUROPEJSKIEJ KONFERENCJI BEZPIECZEŃSTWA I WSPÓŁPRACY. Jak wiadomo – rozpocznie się on 18 września w Genewie. Ta faza obrad konferencji będzie bardzo pracowita. Chodzi przecież o wypracowanie dokumentów, dotyczących bezpieczeństwa Europy, współpracy gospodarczej i wymiany kulturalnej – w szerokim rozumieniu tych słów. Zadaniem komitetu koordynacyjnego jest więc takie przygotowanie obrad, aby jak najsprawniej i najowocniej toczyły się one w komisjach i zespołach.

Kraje socjalistyczne – jak stwierdzono to na spotkaniu krymskim – uważają, że w roku bieżącym jest możliwe zakończenie nie tylko II etapu, ale również III etapu konferencji.

A teraz z Algieru i Genewy przenieśmy się do Pekinu, gdzie w tajemnicy przed światem odbył się X ZJAZD KPCh. W tajemnicy, gdyż o fakcie jego odbycia dowiedzieliśmy się dopiero z komunikatu prasowego agencji Sinhua po zamknięciu obrad. Podaje on, że zjazd wysłuchał referatu politycznego, dokonał zmian w statucie KPCh oraz wybrał nowy Komitet Centralny.

Komunikat stwierdza, że zjazd potępił „antypartyjną klikę Lin Piao za jej zbrodnie" i wykluczył Lin Piao „burżuazyjnego karierowicza, spiskowca, kontrrewolucjonistę, dwulicowca, renegata i zdrajcę – z partii raz na zawsze". Wykluczony został również Czen Pota, określony przez komunikat jako „główny członek antypartyjnej kliki Lin Piao", oraz inni.

Te fragmenty informacji Sinhua oceniane są powszechnie jako dowód, że w łonie kierownictwa chińskiego istnieją poważne rozbieżności. Napaść na Lin Piao, który przecież swego czasu oficjalnie kreowany był na następcę Mao Tse-tunga, wskazuje, jak wielkie są trudności Chin, spowodowane maoistowską polityką wewnętrzną i zagraniczną.

Z komunikatu wynika także, że obecnie postaciami nr 2 i 3 są: Czou En-laj oraz Wang Hung-wen z Szanghaju, oceniany jako przedstawiciel grupy radykalnej.

Pekiński zjazd nie zapowiada zmian w polityce maoistowskiego kierownictwa. Ocenił on, że obecną sytuację międzynarodową charakteryzuje „wielki zamęt", który „jest rzeczą dobrą a nie złą". Już tylko z tej oceny łatwo wyprowadzić wniosek, że ChRL nadal utrudniać będzie międzynarodowe odprężenie. „Jest to ostrzeżenie – pisze „Japan Times" – które należy mieć na uwadze, gdy ertraktuje się z Pekinem".

Z pewnością najbliższy czas przyniesie pogłębienie naszej wiedzy o X Zjeździe. Dziś na pewno stwierdzić można przede wszystkim to, że miotające Chinami od ośmiu lat wstrząsy nie zakończyły się.

Z innych aktualiów zwróćmy uwagę na:

– BLISKOWSCHODNIĄ PODRÓŻ SEKRETARZA GENERALNEGO ONZ – Kurta Waldheima. Trasa tej podróży prowadziła m. in. przez Tel Awiw oraz Kair. Nie znamy jeszcze szczegółów rozmów, w komentarzach zagranicznych przeważa opinia, że Waldheim pojechał na Bliski Wschód w nadziei znalezienia nowych dróg rozwiązania konfliktu;

– POROZUMIENIE, JAKIE ZOSTAŁO ZAWARTE MIĘDZY INDIAMI I PAKISTANEM. Dotyczy ono problemów humanitarnych subkontynentu indyjskiego, którymi zainteresowane są bezpośrednio trzy państwa (poza wymienionymi również Bangladesz). Jednak jego znaczenie jest szersze i może mieć dodatni wpływ na całokształt sytuacji w Azji.

W. SŁAWSKI

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, CELINA PALUCH (redaktor techniczny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji), MAREK WAWRZKIEWICZ.

Stale współpracują: KAROL BADZIAK, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, EWA NURCZYŃSKA, JANUSZ SKOSZKIEWICZ, WITOLD SŁAWSKI.

Dalszy ciąg ze str. 1

razie daleka była od oficjalności, szczera, bezpośrednia, publiczność reagowała żywo. Inna rzecz, że wieczór prowadził Janka Bryl, udekorowany w tym roku Odznaką Honorową miasta Łodzi, świetny prozaik i nie gorszy tłumacz naszej literatury. Prowadził z wdziękiem aż wreszcie osiągnął to, że nasi słuchacze zaczęli na poczekaniu pisać wiersze na cześć przyjaźni Polski i Białej Rusi.

Rzecz prosta, nie obyło się bez rzeczowych, roboczych rozmów. Środowisko łódzkich tłumaczy, przy walnej pomocy Wydawnictwa Łódzkiego, współpracuje żywo z pisarzami Białorusi. Nie od rzeczy będzie w tym miejscu przypomnieć, że Łódź wydała już duży tom wierszy białoruskich, prozę Janki Bryla, wybór poezji Maksyma Bahdanowicza, w przygotowaniu są cztery następne pozycje. Z naszymi kolegami po piórze obradowaliśmy w siedzibie Związku Pisarzy Białoruskiej. Powiem nawiasem, że rozmawialiśmy w dawnym domu rodzinnym Melchiora Wańkowicza, tak więc tradycji stało się zadość. Prezydium sprawował prezes białoruskich pisarzy, poeta znakomity i wielki przyjaciel polskiej literatury — Maksym Tank. Poznaliśmy bliżej wielu pisarzy, między innymi Iwana Szamiakina, prozaika i poetę — sekretarza Związku, Aleksieja Kołakowskiego, Iwana Melesza, prozaika i dramaturga, laureata Nagrody Leninowskiej, Iwana Ptasznikowa, redaktora miesięcznika literackiego „Połynia", Lwa Sławieja, Adama Maldżisa, wybitnego krytyka literackiego, pracownika naukowego Instytutu Literatury Akademii Nauk i jeszcze innych.

Związki literatury białoruskiej są bardzo bogate i sięgają początków pisarstwa naszego sąsiada. Mickiewicz nie bez racji uważany jest za jednego z ojców białoruskiej poezji. Cóż się dziwić, „Ballady i romanse" i nie tylko ballady tkwią mocno w białoruskim folklorze. Ukryta w lasach, cicha, urocza Świteź, uznana została za miejsce swoistej pamięci, dumać tam tylko, kontemplować, wspominać romantyczne dzieje Maryli z pobliskich Tuhanowicz,

ZAPISKI Z MŁODEGO KRAJU

gdzie po dziś dzień stoją stare dęby, jej dzieje i jego wspominać. Można spacerować po Koreliczach, które kiedyś najeżdżały polskie karmazyny i zaściankowcy, można wreszcie obejrzeć z pewnością najlepsze poza granicami naszego kraju muzeum Mickiewicza w Nowogródku.

Wydawcy białoruscy, choć do niedawna jeszcze nie dysponowali odrębnym wydawnictwem literackim, rzucili na rynek w czasach powojennych 603 tytuły polskie, pierwsi dokonali przekładu „Pana Tadeusza" na język obcy, choć chciałoby się powiedzieć to inaczej — pierwszy przekład zagraniczny ukazał się w bliskim nam języku białoruskim. Obecnie działa już wydawnictwo „Literatura piękna", nazwa mówi sama za siebie, a dyrektor tej nowej placówki wydawniczej — Nikoła Tkaczow wiele sobie obiecuje po współpracy z Łodzią. Redaktor Chróścielewski, reprezentujący naszą oficynę wydawniczą, dwoił się i troił, użgadniał, proponował, przyjmował propozycje, a umawiał się tak na następne spokanie, jakby pomiędzy nami nie istniała żadna granica.

I tak to właściwie jest. Wstał nam dzień piękny, cały w lekkich barwach dojrzałego już lata. Mikołaj Tatur i krytyk literacki Aleksiej Gardzicki wiozą nas poza Mińsk. Ziemia wokoło zielona, starannie zagospodarowana, lasy oddychają z trudem w upalnym powietrzu, lasy zdają się mówić o ciężkim losie Białorusi podczas wojny i okupacji. Ponure są statystyki z tamtych lat, co czwarty mieszkaniec tej Republiki Radzieckiej zginął, olbrzymia część mężczyzn walczyła w partyzantce. I to nie przypadek, że właśnie Mińsk posiada bodaj największe na świecie muzeum partyzanckie, przebogaty zbiór dokumentów pisanych, fotografii, broni, starannie przygotowane mapy plastyczne, makiety obrazują przebieg najważniejszych bitew partyzanckich. Nie brak także dokumentów polskich, Polak stawał obok Białorusina przeciw faszystom.

Mikołaj Tatur to były partyzant, wyniósł z wojny postrzeloną rękę. Opowiada, przy każdej wsi jest o czym mówić, każde większe czy mniejsze skupisko ludzi przeszło krwawe dzieje. Zatrzymaliśmy się przy „Kurhanie" sławy". Jest to kopiec wzniesiony rękami ludności Republiki w miejscu, gdzie Armia Czerwona zniszczyła całkowicie 17 dywizji hitlerowskich, a 50 dywizji rozbiła. Na zielonym kopcu, który pokrywają polne kwiaty, stoi pomnik chwały — cztery stylizowane bagnety, wzniesione groźnie ku górze, symbol połączenia czterech frontów zwycięskiej armii. Patrzymy z dużej wysokości na bujną, sfalowaną ziemię, a Tatur wykłada mi pochodzenie białoruskich nazw miesięcy. Marzec to sokowik, soki zaczynają krążyć w przyrodzie, sierpień nazywają żniwnikiem, wrzesień — wrzosem. Jest w tym swoista poezja, podkreślająca związek człowieka z przyrodą. Nikt na kurhanie chwały nie podnosi głosu, choć nie brak zazwyczaj hałaśliwej młodzieży, tu jednak zachowuje się poważnie, jakby istniała nie tylko bezpośrednia pamięć, ale i przekazywana pamięć, w drugim a nawet trzecim pokoleniu, równie czynna i pieczołowicie przechowywana. Na nasze głowy spada w pewnym momencie prawdziwy deszcz biedronek, może to na szczęście?

Skręcamy w boczną, ale świetnie utrzymaną szosę. Po drodze widać stare kobiety, sprzedają siemiczki, banię, dojrzałe porzeczki, jagody, maliny, wiele z nich mówi śpiewną polszczyzną, częstuje kwasem chlebowym. Wzdłuż drogi ciągną wycieczkowicze z plecakami, Białoruś jest bardzo atrakcyjna turystycznie. Przy czołgu, który symbolizuje bohaterską obronę rejonu Mińska podczas najazdu hitlerowskiego, szosa poszerza się znowu, jesteśmy na drodze do Chatynia, jednej z wielu tragicznych wsi, rozrzuconych po całej Białorusi. Lecz Chatyń to jeszcze jeden symbol, synteza zbrodni i synteza nie gasnącej pamięci, płonący znicz, zsypisko spalonej ziemi i ludzkich prochów.

Na tej rozległej polanie, otoczonej bukietami białopiennych brzóz nie można powiedzieć ani słowa, można tylko milczeć. Obraz tej przestrzeni wciska się pod powieki i długo pozostaje. Więc widzę dokładnie stylizowane kominy popalonych chat, a każdy z nich posiada swój dzwon elektryczny. Co jakiś czas słyszę dźwięk dzwonu, stąd, stamtąd, z miejsc, gdzie kiedyś żyli ludzie. U stóp komina spisy pomordowanych, rejestry spalonych, od najstarszych do maleńkich dzieci. Jeszcze ubiegłego roku żył ostatni z cudem ocalałych — Kamiński, teraz żyje już tylko pamięć. Hitlerowcy zniszczyli na Białorusi 209 miast. Każde z nich ma swoją tablicę w długim, poszarpanym murze. Czytam — Nowogródek: 2.400 rozstrzelanych. Baranowicze: 3.200, Pińsk: 50 tysięcy, Bobrujsk: 49 tysięcy. Hitlerowcy spalili 9.200 wsi, zabili 2.230 tysięcy ludzi. Każda umęczona miejscowość ma w Chatyniu swoją urnę, przesłoniętą szkłem, osadzoną w pogorzelisku. Urny są wypełnione ziemią z każdej wsi i choć nie może do wnętrza dotrzeć woda, a i z dopływem powietrza nie najlepiej, w kilku urnach zauważyłam kwitnące rośliny.

Na uliczkach nie istniejącej wsi, w domach już dawno nie istniejących biją dzwony, po środku płonie znicz, przy którym składamy kwiaty. Nie musieliśmy ze sobą rozmawiać, ponieważ rozumieliśmy się bez słów, mówiły symbole, krzyczała wspaniała rzeźba starca, trzymającego na rękach nieżywe dziecko.

Z atmosfery tego miejsca cierpień, tego wstrząsającego castrum doloris, wygrzebywaliśmy się nie bez pewnego trudu, choć przecież sami pochodzimy z ziemi, w którą wsiąkła krew milionów. Przystanęliśmy, pamiętam tę chwilę dokładnie, pod pomnikiem Mikołaja Hastello, który w roku 1941 poniósł śmierć pikując samolotem na posuwające się ku Mińskowi kolumny hitlerowskich wojsk pancernych. I był już ostatni akcent zwrócony ku czasom wojny. Jeszcze kilka kilometrów i zatrzymaliśmy się w przepięknej dolinie. Tuż przed wsią Wiazynka — znak przyszłości: nowy kanał, którym Białoruś doprowadza wodę do Mińska z sąsiedniej Litwy.

Słońce lipcowe wyzłaca bujną, kipiącą zieleń, pomnik Janki Kupały otaczają kwiaty. Tadeusz Chróścielewski próbuje nas fotografować, ale my od razu wiemy, że nic mu nie wyjdzie. Wyszedł mu natomiast pięknie, cytowany z pamięci fragment wiersza poety.

„Pieśń swą zespolił z tą mową ubogą,
Co się z drwinami tylko spotykała,
Niechaj ją sądzą wyniośle i srogo,
Lecz wierny jej będzie Janka Kupała."

Zwiedzamy muzeum, poświęcone pierwszemu poecie Białorusi. Niskie, lecz gościnne progi ubogiej chaty, przekraczamy nie bez wzruszenia. Oglądamy proste meble, zwykłe i dawno już zapomniane narzędzia — żarna, cepy, drewnianą sochę. Spisałem sobie ulubione książki Janka Kupały: Adam Mickiewicz — „Pan Tadeusz", Stanisław Wyspiański — „Sędziowie", znowu Mickiewicz — „Wybór poezji" Sewer — „Maciek w powstaniu", Cecylia Niewiadomska — „Dzieje Polski w obrazkach, legendach, podaniach". Pierwsze poezje pisał Kupała w języku polskim, Mickiewicz próbował w białoruskim języku pisać. Te lektury, związki, tak proste, kiedy spojrzeć na nie z historycznej perspektywy, bardzo nas cieszyły, przede wszystkim jednak dobrą stanowią podmurówkę pod naszą dzisiejszą współpracę.

Gwarzyliśmy na ten właśnie temat gośćmi będąc wspominanego już wcześniej krytyka literackiego Adama Maldżisa. Trafiliśmy znakomicie, do naszego gospodarza zjechała rodzina i stała się rzecz zgoła nieoczekiwana. Jedno małżeństwo to Polacy ze szczecińskiego, druga para z Białorusi, a trzecia odrośl klanu Maldżisów, kawaler jeszcze, siedzi na Litwie. Czy należy się dziwić, że jedliśmy kolację jakby u siebie?

Zagadałem się trochę o przeszłości i trochę ugrzązłem w literackiej materii, a Białoruś to przecież dzisiaj kraj wycelowany w przyszłość. Kraj bardzo młody. Na ulicach Mińska rej wodzi młodzież, smukła, wesoła, bardzo modernie ubrana. Panny smukłe jak brzozy z pobliskich lasów, kawiarnie i restauracje pełne, kolejki niecierpliwych czekają aż się jakie miejsce zwolni, wciąż jeszcze mało lokali rozrywkowych. Radość w tym czasie była duża, drużyna lekkoatletyczna Związku Radzieckiego biła właśnie Amerykanów, stąd może zjazd młodzieży jeszcze większy, więcej zdrowego humoru.

Mińsk powstał z popiołów jak Warszawa i przekroczył już wyraźnie milion mieszkańców. Można się spierać o pewne szczegóły odbudowy, moim zdaniem, nie zawsze najciekawszej, przecież jednak nie o to chodzi. U nas można znaleźć takie same nie najciekawsze szczegóły. Przed Rewolucją Październikową, choć to mało prawdopodobnie brzmi, sprowadzano na Białoruś pługi i brony najprymitywniejszej konstrukcji, ponieważ brakowało jakichkolwiek narzędzi. Dzisiejsza Republika wytwarza jedną trzecią nawozów potasowych w Związku Radzieckim, co piąty traktor, co szósty motocykl, co ósmą obrabiarkę do skrawania metali, co ósmą automatyczną linię obrabiarek, co trzynasty radioodbiornik, co osiemnasty samochód ciężarowy. Ziemia piękna dla oka, ongiś uboga, rękami zdolnych ludzi dźwignęła zniszczoną Białoruś. W końcu to nie bagatela — utrzymywać 11 teatrów, 37 muzeów, ponad 7 tysięcy bibliotek, wydawać ponad 130 gazet i 40 czasopism, eksportować wyroby przemysłowe do 70-ciu krajów wszystkich kontynentów świata.

A kiedyśmy jechali dalej, do sąsiedniej Litwy, wieźliśmy ze sobą obraz Rusi Białej, każdy swój, zapamiętaliśmy twarze naszych wspólnych przyjaciół, ich słowa i gesty serdeczne. Niezawodny w okazjach zadumy i refleksji Tadeusz Chróścielewski przypomniał już w pociągu wiersz Maksyma Tanka — „Na nowogródzkiej górze".

„Tutaj mieszkał Mickiewicz.
I tu, z tej góry,
Dzisiaj jeszcze poczujesz owych wiatrów powiew,
Które stąd w świat nosiły myśli jego chmury
I pod oknami jemu szumiały listowiem.

W noc Dziadów na szczyt wszedłem, gdy powietrze
mglawe
Tumanem przesłoniło pola i dąbrowy.
I oto nasłuchuję, wieszcz opuszcza Wawel,
Dla swoich stron ojczystych rzuca cień grobowy"...

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

GDZIE JEST FRANEK?

Wprawdzie znany łódzki poeta i prozaik powiedział już: „Zdaje się, że Franek wyszedł", ale ja nie byłem pewien gdzie, przeto udałem się na ulicę Łąkową, bo tam ponoć też miano szukać Franka. Na ulicy wyprzedziło mnie dwóch młodych ludzi w obcisłych spodniach, z których jeden uzbrojony był w duże, ciemne okulary filmowe. Chłopcy dążyli w stronę gmachu WFF i prowadzili dialog:

— Jak by cię tak wzięli, to co?

— To by było życie!

— Ale nie wiadomo, czego oni chcą.

— No! I ciekawe, z czego będą to robić...

Ujrzawszy pusty plac przed wytwórnią, ruszyli w stronę pobliskiego parku. Ja tam nie speszyłem się pustką i poszedłem do wysokiego gazonu z kwiatami, za którymi czaiło się trzech mężczyzn. Wysoki i przystojny, który czujnym, wrażliwym okiem artysty obejmował przyszły plac boju, okazał się Reżyserem. Drugi był bardziej przystojny, ale niższy, i on miał zagrać rolę Józka w filmie. Najniższy, kędzierzawy i szczycący się podskubaną bródką, powiedział, że jest Autorem, co zrobiło na mnie duże wrażenie.

Pragnę tu wyjaśnić, czemu nie posługuję się nazwiskami bohaterów. Wynika to stąd, że podobno jednego kolegę przykrócono za takie praktyki. Tak mi powiedziała sympatyczna koleżanka z „DŁ", z którą wymieniłem kilka ciepłych słów na ten temat. Koleżanka żaliła się, że pracuje w dziale kulturalnym, lecz redakcja nie pozwala jej pisać o filmie, a o wymienianiu nazwisk to już nie ma mowy. Tak więc jako tzw. wolny strzelec tym bardziej nie powinienem się wychylać.

— Nie udał nam się spęd — powiedział Reżyser. — Tylko jeden taki w okularach siedzi od południa, ale to nie Franek.

— W gazetach pisano — ośmieliłem się zauważyć — że przyjmowanie zgłoszeń zacznie się o godz. 16,30, a więc za pół godziny.

— Ach tak — rozpogodził się Reżyser — to fajnie, czyli nie jest źle. Chodźmy więc omówić rzecz w cieniu.

Udaliśmy się do „Kaprysu", gdzie był cień i cisza, sprzyjające dyskusji. Aktor, mający grać w filmie Józka, był przemęczony, gdyż pół dnia kosił żyto, obstąpiony przez rolników, którzy nękali go pytaniami, jak to jest w filmie i ile t a k i dostaje za godzinę. Wszelako nie tail radości z przydziału pięknego, białej maści konia, co należy zawdzięczać operatywności kierownictwa produkcji. W trakcie dyskusji zauważyłem, że twarz Autora rozjaśnia się. Był wyraźnie zadowolony z Józka, człowieka skromnego i sympatycznego, a co najważniejsze — świetnego aktora. Zrobiło się pogodnie, ale Reżyser powiedział do pani w białym fartuszku, że ona go namawia na wysokie koszta, więc wróciliśmy na przegląd, czyli na dalsze poszukiwania Franka.

Przed halłem stało mnóstwo osobników kudłatych, lub z lekka przystrzeżonych, w strojach dowolnych. Dziewczyny zaciskały kciuki, jedna z matek sterczała u wejścia, wypinając biust i uważnie wpatrując się w twarz filmowców. W samym hallu kłębiła się kolejka. Ilość przybyłych „Franków" określono na 150. Wokół krążyły opinie, że to sama „żulia", wybór ilościowo bogaty, ale jakościowo skromny.

Wśliznąłem się do małego pokoiku, gdzie kandydaci na gwiazdę prezentowali swoje oblicza, figury, głos i dane biograficzne. Tu szalał reporter F, znawca kobiet, włoskiej canzony i corridy, który dziobiąc długopisem w piersi i oczy rozmówców, wymuszał na nich liczne wypowiedzi na temat filmu, jego obsady, postaci Franka itp. Udało mu się też przydybać Autora, któremu szybko zmiękczył nazwisko, nazwał go znanym poetą, Franka zaś ambitnym rolnikiem, po czym stwierdził, że Franek nie powinien być kanciasty, w związku z czym jego rolę natychmiast powierzył gwieździe płci męskiej tegorocznego Festiwalu Piosenki w Sopocie.

Przesłuchanie trwało. Przedstawiciele różnych zawodów, uczniowie, studenci, bez względu na wiek i wzrost, wypowiadali bełkotliwie swoje nazwiska, czyli z dykcją było kiepsko.

Pani Asystent testowała psychologicznie. Pytała np. o telefon domowy. Ci, którzy go nie mieli, spuszczali głowy, szczęśliwi posiadacze aparatu ożywiali się, szybko podawali numer i patrzyli z nadzieją w oczy pani Asystent. Na pytanie, w jakim filmie mają zamiar zagrać, odpowiadali: „Przejdziemy przez sad", lub „Przepłyniesz sad"; kandydat do szkoły lotniczej twierdził, że to jest „Polatam sobie nad ogródkiem", a inni w ogóle nie wypowiadali się na temat tytułu filmu.

Patrzyłem na Autora i szczerze mu współczułem. Autor nerwowo skubał bródkę, która w miarę skubania upodabniała się do mojego miernie uwłosionego czoła, albowiem kandydaci do głównej roli nie czytali książki i nie znali Autora. Jednakże pocieszał go fakt, że kandydaci obiecują przeczytać tę książkę. Pocieszali go także inni życzliwi ludzie, twierdząc, że ten brak znajomości u potencjalnych aktorów wynika z niskiego nakładu książki.

Wszystkim rozjaśniły się twarze, kiedy na klamkach zagrały Lapsle i zmęczeni upałem filmowcy ugasili pragnienie. Śmielsi stali się też kandydaci Jeden wywodził, że tylko dlatego tu stoi, ponieważ z braku miejsc nie przyjęto go do szkoły filmowej. Inny twierdził, że wprawdzie nie chodzi do szkoły, ale ma posadę.

— Jaką — padło pytanie?

Jestem księgowym, ale ponieważ mam 20 lat, pracuję jako referent, ale taki do wszystkiego.

Jeden facet tańczył w balecie, ale obecnie przerzucił się na boks, inny pracował w klubie jeździeckim i od dziecka jeździł na koniu, co uwidoczniło się, gdy przyjrzano się uważnie jego kończynom dolnym. Mnie podobał się oczywiście pewien blondynek, ale miał za bardzo przekrwione oczy.

Selekcja stała się bardziej atrakcyjna, gdy pani Asystent zrobiła test pt. „Kto to może być?" O Asystencie Marku, który mógłby zagrać rolę Franka, ale mu się nie chce, kandydaci, ra gwiazdorów mówili, że jest fotoreporterem, fryzjerem i księgowym, zaś o wpatrującym się tkliwie w ich oczy Operatorze, że to ani chybi — referent z administracji. Pan Marek się odciął i spytał jednego z kandydatów, kim może być ta pani (czyli Asystentka). Ponieważ miała ona bujniejsze owłosienie niż Autor, kandydat odparł swobodnie, że ta pani jest z zawodu bojowniczką, czyli Angelą Davis.

Na tym przesłuchanie zakończono. Przesłuchani, pokorni w hallu, rozszaleli się na placyku, komentując na k... i inaczej przebieg przesłuchań. Bardzo głośno. Uciszyli się, kiedy nastąpił wybór dwudziestki, która zdobyła największą ilość punktów. Stanęli wszyscy pod ścianą i robili bardzo pocieszne miny. Wzdłuż szeregu krążyli Reżyser z Operatorem i patrzyli chłopakom w twarze. Wybrano ośmiu, wśród których za kilka dni nadal będzie się szukać Franka. Zauważyłem jednak, że Reżyser, Operator i Autor miny mają skwaszone. Ale ja też nie widziałem w tej ósemce Franka, bo czytałem książkę Autora.

Kiedy opuszczałem plac boju, jedna dziewczyna dostała spazmów, a druga trzasnęła chłopaka „z odrzutu" w twarz, krzycząc, że zrywa z taką ofermą. Nie widziałem, co było dalej, bo Operator porwał mnie do wozu i mimo oporów, wraz z Autorem, Reżyserem i Aktorem — Józkiem zawiózł na konferencję prasową. Na konferencji była jajecznica z 12 jaj, usmażona osobiście przez Reżysera. Nastrój popsuła kobieta w koturnach na 10 cali, której źle się chodziło w tym obuwiu i wpadła na patelnię z jajecznicą. Ale mnie się to nawet podobało. Tylko gdzie jest, do cholery, ten Franek?

JAN GONTAL

Spiewa Irena Jarocka

SOPOT CZYLI PRZECIĘTNOŚĆ DOSKONAŁA

JERZY WILMAŃSKI

Dyryguje Henryk Debich

Tytuł określa właściwie wszystko. Kiedy po powrocie z Festiwalu Piosenki w Sopocie pytano mnie, jak tam było odpowiadałem: „dziękuję, wszystko po staremu".

Bo też rzeczywiście było wszystko po staremu, a nawet bardzo po staremu. Gromko zapowiadane zmiany organizacyjne nie wniosły wiele nowego, powrócono natomiast do starych „pewniaków". **Wrócił więc na estradę Lucjan Kydryński, udowadniając raz jeszcze, że jest najlepszym prezenterem przy którym „gwiazdy filmu i estrady" śmieszą amatorszczyzną. Wrócił Jerzy Gruza reżyser doskonały...** Ba, wróciły nawet piosenki i style piosenkarskie uprawiane przed laty... Kiedy pan Roberto Luti z Wenezueli odśpiewał niegdysiejszy szlagier Piętowskiego i Millera „Na deszczowe dni" — siedzący obok mnie Michał Targowski z łódzkiej rozgłośni rzekł: „No, jeszcze w „Łodziance" mógłby on refreny śpiewać, ale już na przykład na „Halkę" jest trochę za słaby"... Więcej było takich „za słabych na „Halkę", ale do Sopotu w sam raz. Miał rację Targowski, bowiem występ refrenisty z Wenezueli był jednym z nielicznych, który został usunięty z telewizyjnej transmisji. Poza tym telewizyjne montaże szły na antenę w zasadzie bez cięć nie powtórzono więc niewątpliwych błędów Opola. **Szefowie Telewizji Polskiej zapowiedzieli zresztą, że w roku przyszłym koncerty festiwalowe przekazywane będą na żywo.**

Festiwal sopocki osiągnął po trzynastu latach szczyty przeciętności. Dyrektor „Pagartu", Jacek Dobierski, onże przewodniczący jury Festiwalu, poproszony o ocenę imprezy, powiedział odważnie, acz zgodnie z prawdą: „nie było gorzej..." We mnie ta enigmatyczna nieco odpowiedź budzi drobną wątpliwość interpretacyjną. Czy nie było w ciągu tych trzynastu lat Festiwalu, na którym byłoby „gorzej" niż w tym roku — czy też w tym roku nie było „gorzej" niż w latach poprzednich. Nieważne zresztą: ważne, że wszystko po staremu.

Nie mam oczwiście zamiaru rozdzierać szat z tego powodu. Po latach obserwacji tych piosenkarskich igrzysk można się było nauczyć olimpijskiego spokoju i filozoficznej zadumy. Czy zresztą z tą piosenką jest naprawdę tak źle? A może nauczony życiowym doświadczeniem powinienem napisać, że w ogóle sytuacja zmierza ku stałej poprawie, szczególnie w ostatnich dwu — trzech latach?

Któż z młodych pamięta dziś czasy, kiedy cała Polska śpiewała szlagier do słów:

„Gdy w mieście Klaj
sprzedawca jaj
zaśpiewał aj aj aj..."

Była taka piosenka i nikt wówczas nie mówił o kryzysie piosenki. Więc ogólnie sytuacja zmierza ku stałej poprawie...

Tak mógłbym napisać i pewno byłoby w tym jakieś ziarnko prawdy. Inna jest jednak dziś sytuacja tzw. show-byznesu na całym świecie, inny zasięg piosenki, inna skala zainteresowań... Po prostu świat jest inny.

A u nas? Śmiech pusty, a potem litość i trwoga. **Stan Borys,** reprezentujący na Międzynarodowym Festiwalu Piosenki polską wytwórnię płyt przyjeżdża na imprezę bez swego, nagranego już przecież, nowego „longa", bo taż sama wytwórnia zaplanowała wydanie płyty na inny czas. Stan Borys — autentyczne zjawisko artystyczne nie mógł się doczekać swojej płyty od wytwórni, którą reprezentował... Dziwne? Więc teraz ciekawostka. **Helena Vondraczkowa** wydała w ciągu roku dwanaście płyt. I był to rok jej debiutu! Oto, jak nasi czescy przyjaciele robią show-byznes

Dla nikogo nie jest tajemnicą, że „Polskie Nagrania" na płytach — dla przykładu — **Czesława Niemena i „Czerwonych Gitar"** zarobiły parę milionów złotych. A ile zarobili piosenkarze? Otrzymali po 7 tysięcy zł honorarium za nagranie.

„Oczywiście — odpowiedzą producenci corocznie zarabiamy 120 milionów złotych, odprowadzanych do skarbu państwa i na tym w zasadzie kończy się nasza rola. Nie możemy zapewnić piosenkarzowi stałej opieki (reklama, impresario, itp.), bo piosenkarze nie są u nas zaangażowani na tzw. wyłączność. A nie są dlatego, ponieważ mamy niskie stawki za nagrania i piosenkarz, żeby żyć, musi koncertować w Estradach, telewizji itp. Na reklamę „Polskie Nagrania" mają 1 (słownie jeden) milion złotych..."

Jest to klasyczne błędne kółko. Dyrektor „Polskich Nagrań" rozkłada ręce i mówi: „Ja nie mogę dać 200 płyt pani Rodowicz na reklamę, bo płyty to jest majątek państwowy i nie wolno mi go trwonić bez rozliczenia. Od razu bym miał na głowie NIK, IKR i tym podobne..."

Doskonale rozumiem dyrektora „Polskich Nagrań". Zbyt długo pracuję w tej branży, aby nie wiedzieć, że płyty oprócz tego, że są majątkiem państwowym, są także materiałem reklamowym. Dyrektor o tym wie, ale obowiązują go te same przepisy co przy produkcji plastikowych widokówek.

Może więc warto przestać pastwić się nad „Polskimi Nagraniami"?

A teraz sprawa kiermaszu płytowego na sopockim molo. Miała to być ciekawa innowacja Festiwalu czyli jak powiedział jeden z organizatorów „zalążek zalążka" targów płytowych.

Nie był to żaden „zalążek", tylko parę kramów z bublami. Minimalne ilości płyt np. grupy „Locomotiv GT", szalenie popularnej wśród nastolatków, rozprzedano w ogromnej wrzawie i tłoku w ciągu pierwszej godziny pierwszego dnia Festiwalu. Na tych — pożal się Boże targach nie było absolutnie nic innego, co przeciętny meloman może kupić w każdym sklepie płytowym „Domu Książki". Tworząc „zalążek zalążka" nie pomyślano o sprowadzeniu czegoś „extra", jakichś płyt czy nagrań kasetowych, które stanowiłyby o niepowtarzalności sopockich targów. Ale cóż — przedstawiciel Państwowego Wydawnictwa Muzycznego powiedział: „Jesteśmy limitowani jeśli chodzi o rentowność..."

W skrócie rzecz przedstawiając, chodzi o to, że stała suma dewizowa na zakup płyt z zagranicy nie może ulec zachwianiu nie mogą też ulec zmianie proporcje zakupów ponieważ w tej stałej sumie dewizowej mieszczą się także zakupy płyt i taśm do nauki języków obcych, różne inne wydawnictwa, np. techniczne... I w tym miejscu przedstawiciel PWM Editions powiedział rzecz straszną i blady strach padł na wszystkich. Było to pierwszego dnia Festiwalu — jeszcze przed pierwszym koncertem. Powiedział mianowicie: „W umowie jest klauzula, że piosenkarz, który otrzyma „Grand Prix du Disque" ma zagwarantowany zakup przez Polskę 6 tys. płyt ze swoimi utworami". „Ja się prywatnie obawiam — ciągnął ten pan — jaki wyniknie kłopot, jeśli to będzie piosenkarz zachodni, bo nasz fundusz dewizowy tego nie może wytrzymać..."

Wszyscy odetchnęli z ulgą, kiedy okazało się, że „Grand Prix du Disque" otrzymała nasza rodzima Maryla Rodowicz, ratując w ten sposób fundusz dewizowy.

Jeśli ktoś mnie w tym miejscu posądzi, że podstępnie umniejszam sukces naszej piosenkarki, to stanowczo oddalam od siebie takie posądzenie. **Maryla Rodowicz w tym morzu przeciętności była naprawdę najlepsza.** Ja po prostu notuję fakty i wypowiedzi w przekonaniu, że poważni ludzie wiedzą, co mówić, a czego nie mówić na oficjalnej konferencji prasowej.

Jeśli już o powadze mowa, to jakoś tam kiełkuje we mnie przekonanie, że Festiwal jest imprezą mało poważną. Nie chodzi mi, rzecz prosta, o to, aby rozrywka była pryncypialna, tylko o to, że... Prezentuję turniej trzech pytań.

Pytanie: „Czy przybył do Sopotu choć jeden przedstawiciel wytwórni, uprawniony do zawarcia umowy na sprzedaż — kupno płyt?

Odpowiedź organizatorów: „Nie mamy zgłoszenia żadnej firmy zachodniej, która przysłałaby tu przedstawiciela, aby robić z nami interesy". Od siebie dodam, że firmy płytowe naszego obozu bez względu na festiwal prowadzą z nami wymianę.

Pytanie: „Czy zawarto jakieś kontrakty na występy i nagrania naszych artystów za granicą?"

Odpowiedź organizatorów: „Tu się nie zawiera kontraktów, prowadzimy tylko luźne rozmowy. Wyjadą prawdopodobnie do krajów zachodnich Sośnicka, Niemen, Połomski, do Czechosłowacji „Homo Homini", do NRD zespół „2+1", do Belgii, NRF i Austrii — Maryla Rodowicz, dalej zainteresowani są impresaria zagraniczni Stanem Borysem, Bractwem Kurkowym, zespołem „Anawa"...

Pytanie: „Czy bez Sopotu te ewentualne wyjazdy za pośrednictwem „Pagartu" nie mogłyby dojść do skutku?"

Odpowiedź organizatorów: „Oczywiście, że mogłyby dojść w ramach normalnej działalności dla „Pagartu" ważniejszy jest Festiwal w Opolu".

Dziękuję, nie mam więcej pytań.

Najpoważniejszą sprawą jest dla mnie w tym interesie Orkiestra PRiTV pod dyrekcją **Henryka Debicha.** Co roku niektórzy moi koledzy z Księstwa Warszawskiego próbują wybrzydzać, że nie to brzmienie, że „cały świat" tak już nie gra, że zbyt tradycyjnie, że za duża orkiestra że to, że tamto... że lepiej angażować muzyków-geniuszy z Federacji Jazzowej... że jeden dyrygent prowadzi wszystkie koncerty...

Kierownik muzyczny Festiwalu, **Jerzy Milian,** powiedział: **„Nie ma w kraju innej orkiestry, która udźwignęłaby tak ogromny ciężar towarzyszenia piosenkarzom o bardzo różnym przygotowaniu, umiejętnościach, stylach wykonawczych. Henryk Debich stworzył ze swej orkiestry instrument muzyczny na dobrym poziomie i — co najważniejsze niezawodny. Nie widzę też powodu, aby Henryk Debich nie miał kierować tym muzycznym instrumentem, który sam stworzył.**

Zespół Debicha wykonuje pracę w warunkach częstokroć dramatycznych. Daniel Gerard dostarcza aranże swoich piosenek na ... dwie godziny przed koncertem. Inna gwiazda zagraniczna stwarza sytuacje, że aranże trzeba robić nocami. Na próbach przed koncertem „Dnia Polskiego" okazuje się, że wielu piosenkarzy nie zna nie tylko tekstu, ale i melodii piosenek, które mają wieczorem śpiewać. Zespół — łącznie z dyrektorem — jest na nogach bez przerwy od rana do późnych godzin nocnych..."

Tyle Jerzy Milian. Od siebie dodam, że i w nocy zespół nie ma spokoju, ponieważ kwateruje się orkiestrę w... rodzinnym domu wczasowym (wrzaski i zabawy wczasowiczów, płacz dzieci, psów szczekanie...)

A wieczorem na koncercie orkiestra gra. Niezawodna i precyzyjna. A jeśli zdarzy się „kiks", koneserzy krzywią się z niesmakiem. Dla mnie jednakże Orkiestra Debicha jest najpoważniejszym, najbardziej godnym uznania uczestnikiem tej imprezy, tak przecież miejscami mało poważnej.

Jeśli chodzi o „Dzień Polski", to i tym razem nie mieliśmy zbyt wiele szczęścia. Od strony repertuaru potraktowano go chyba najsolidniej z festiwali, które pamiętam, w czym na pewno wiele zasługi Jerzego Miliana. Po prostu kierowano się stopniem popularności piosenek, a nie tzw. układami grup autorskich. Nie zdarzyło się zatem (a zdarzało się nieraz), aby w „Dniu Polskim śpiewano piosenki, które w Polsce przeszły bez echa, lecz autorzy jakoś tam trafili, gdzie trzeba. Właściwie to wszystko, co ostatnio Polska nuciła — znalazło się w tym koncercie. Były trzy bardzo ładne piosenki łodzianina **Ryszarda Czubaczyńskiego** do muzyki **Szczygła, Majewskiego i Sołtysika.** Były przeboje **Katarzyny Gaertner, Włodzimierza Nahornego, Tadeusza Woźniaka...** Była rozmaitość uczciwie wyważona.

Niestety, żeby nie było zbyt wiele szczęścia na raz, piosenkarze potraktowali „Dzień Polski" raczej ulgowo. Był to bardzo słaby koncert, a jeśli się ludziom raczej podobał, to po prostu dlatego, że słuchaliśmy piosenek znanych i lubianych, więc umykała nam wszystkim niedoskonałość wykonawstwa. Piosenkarze potraktowali „Dzień Polski" jako obowiązek do wykonania i małe są szanse, aby polskie piosenki weszły na stałe do repertuaru zagranicznych wykonawców.

Nagród jednak posypał się deszcz często dość dyskusyjnych. Żeby tych dyskusji nie nasilać, dziennikarze akredytowani przy Festiwalu nie przyznali swojej tradycyjnej nagrody nikomu. Zanim taki wniosek przegłosowano, zdarzyła się bowiem rzecz dziwna i niepoważna. **Fotoreporterzy przyznają corocznie swoją własną nagrodę „Miss obiektywu". W tym roku przyznano ją jednogłośnie Irenie Jarockiej.** I cóż się dzieje? Organizatorzy... nie godzą się na ten wybór. Mówią: „Możecie przyznać nagrodę komu innemu, ale Jarockiej nie, bo ona była gościem Festiwalu"... Ciekawe pojęcie gościnności, nieprawdaż? Skoro więc organizatorzy ingerują w wybór tradycyjnego tytułu „Miss obiektywu", który jest wyróżnieniem za wdzięk i fotogeniczność, a nie za interpretację, reszta dziennikarzy uznała, że trzeba zrezygnować ze swej tradycyjnej nagrody, aby nie zmuszać organizatorów do ponownych wysiłków nad kontrargumentacją. Jedni mówią, że dziennikarze zrobili to dla dobra sprawy, inni, że dla protestu. Historia (Festiwali, oczywiście) rozwieje kiedyś mroki tej tajemnicy.

Dwa lata temu, pisząc o Festiwalu, zatytułowałem artykuł „Sopot czyli igrzyska". Rok temu dałem tytuł „Sopot czyli jest jak jest". W tym roku — „Przeciętność doskonała". Reasumując — piosenkarskie igrzyska, doskonale przeciętne, czyli dobrze jest jak jest.

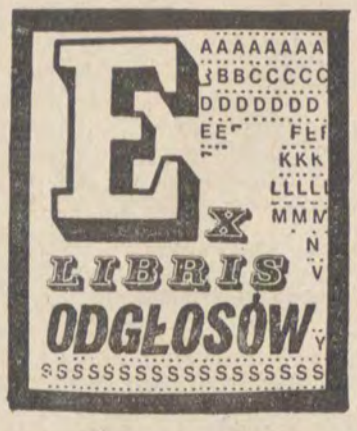

OPOWIASTKI

Nie należę do zwolenników pisarstwa Jana Stoberskiego, ale zważywszy częstotliwość druku jego gawędzenia w „Przekroju" przyjąć trzeba, że ludzie to lubią. Podobno gawędy Stoberskiego nie mają w naszej literaturze odpowiednika. Jeśli tak, to tym bardziej trudno o skalę porównawczą.

A jednak pisarstwo tego krakowskiego urzędnika, podpisującego się w swoim czasie: „Jan Stoberski — członek Związku Literatów" — choć na pewno miejscami irytuje, a miejscami nudzi — może przecież uparłemu czytelnikowi dać jakieś satysfakcje.

Świat opowiastek Stoberskiego, to świat uładzony, pozbawiony dodatkowych znaczeń, spięć dramatycznych i konfliktów. Nie są to więc przypowiastki z jakimś przejrzystym morałem, czy „drugim dnem". Na pewno! A jednak czasem ma się wrażenie, że w tym dobrodusznym gadaniu o życiu, które tak sobie spokojnie płynie, jest jakaś piramidalna kpina autora. Wtedy odczuwam największą czytelniczą satysfakcję, gdy naprawdę nie wiem, czy autor kpi, czy o drogę pyta. Może więc to jest tak, jak twierdzą wydawcy, że Stoberski prezentuje w tym pozornym gadaniu jakieś credo artystyczne, tylko je skrzętnie przed czytelnikiem ukrywa, pozwalając domyślać się jeno?

A może to, po prostu, przekonanie, że niemożliwe jest pisać historie o tym, co się działo na ulicy, w domu, czy w ogóle „na mieście" — bez jakiejkolwiek motywacji, w jakim celu autor nam to wszystko opowiada. Choć mnie Stoberski czasem zaciekawi, naprawdę nie wiem, gadka to czy literatura?

Jan Stoberski **„Każdy inny"**. Wyd. Literackie 1973 cena 13 zł.

LISTY MIŁOSNE

Zaczyna się piękna rywalizacja między wydawcami o książki właśnie pięknie wydane. Jeszcze do niedawna zdecydowanie przodowało w tym względzie Wydawnictwo Literackie — od jakiegoś czasu coraz piękniejsze książki wydaje także Państwowy Instytut Wydawniczy.

Nasunęła mi się ta uwaga na marginesie wydanego ostatnio tomiku pt. „Listy miłosne Kazimierza Junoszy-Stępowskiego". O samych listach cóż pisać? Są wzruszającym, ciekawym dokumentem — i są jednocześnie prawdziwą literaturą.

Warto jednak przypomnieć autora. Był nim wybitny aktor dwudziestolecia międzywojennego. Zmarł tragicznie w latach okupacji od kuli żołnierzy podziemia, którzy przyszli wykonać wyrok na żonie Junoszy. Ta nieszczęśliwa kobieta, narkomanka, oszukańczymi obietnicami uwolnień wyłudzała pieniądze od rodzin więźniów politycznych. Stępowski zasłonił żonę i kula dla niej przeznaczona ugodziła w niego.

Zginął, ratując życie kobiety, żyjącej całe lata w cieniu tamtej miłości — odkrytej dziś przed czytelnikiem garstką listów. Z tych listów wyziera wielka miłość — z tego ostatniego gestu także wyziera miłość... Takie są bowiem pokrętne drogi ludzkich uczuć i namiętności.

„Listy miłosne **Kazimierza Junoszy-Stępowskiego"**, PIW 1973, cena 25 zł.

NIEPOPRAWNY SŁOWNIK

Nazwisko prof. Witolda Doroszewskiego stało się dla milionów Polaków czymś na kształt kapliczki poprawnej polszczyzny. Oczywiście zawdzięcza profesor tę popularność głównie swym radiowym pogadankom, a nie uważnym czytaniem tego, co profesor swoim nazwiskiem firmuje.

Ostatnio ukazał się właśnie w ogromnym, bo 100-tysięcznym nakładzie „Słownik poprawnej polszczyzny" pod redakcją prof. Doroszewskiego. Nie jest to — jak można by mniemać na podstawie tytułu — kontynuacja pionierskiego dzieła prof. Szobera, lecz zupełnie nowa i chyba dość dyskusyjna koncepcja słownika. Wytknął to już prof. Doroszewskiemu w swojej wnikliwej rozprawce prof. Bronisław Wieczorkiewicz.

Brak w pracy firmowanej przez prof. Doroszewskiego konsekwencji, sporo niejasności, upierają się autorzy przy sztucznych, nie dostosowanych w życiu zasadach pisowni, jak na przykład w wypadku pisowni „żuk wpadł na żubra..." Wg słownika poprawnej polszczyzny oznacza to, że furgonetka marki „Żuk" wpadła na ciężarówkę marki „Żubr".

Reasumując — ten „poprawnościowy" słownik, wydany w dużym nakładzie, wprowadzi jeszcze więcej zamieszania w Polskiej pisowni, gdzie jak wiadomo — i dziś zamieszania nie brakuje.

„Słownik poprawnej polszczyzny PWN" **Red. naczelny W. Doroszewski**, PWN 1973, cena 160 zł.

STARE SREBRA

Na wstępie książki Bohdan Drozdowski napisał: „wszelkie podobieństwo postaci występujących w „Starych srebrach" do osób żywych lub umarłych, jakie mogłyby nasunąć się Czytelnikowi, jest z pewnością wynikiem splotu przypadków..." Żeby całą rzecz dokładniej zaszyfrować Drozdowski napisał jeszcze na obwolucie: „W Starych srebrach" znajdzie Czytelnik bohaterów osadzonych w miejscu i czasie, rozwijającą się akcję i pointę, a mimo to będzie się wahał, czy to jest powieść. Nie ma tu tych wszystkich mostków, kładek i zagadek; mostki zostały zburzone, a zagadki rozwiązane, zanim się powieść zaczęła. Odrzuciłem wszystko, co przeszkadza w prowadzeniu Mojej — Naszej Sprawy z Losem".

A jednak jest to powieść, choć pozornie wygląda na chaotyczny notatnik; jest to powieść ambitna, wyrosła z naszego czasu, jego doświadczeń i jego spraw. I choć się autor zaklina przed zbyt dosłownym pojmowaniem autentyczności bohaterów, to przecież rozpoznajemy tragiczne oczy tej polskiej aktorki, wołające „pomóż mi"... I rozpoznajemy z imienia i nazwiska (a imię ich milion?) tych wszystkich wirujących w świecie Moim-Naszym, opisanym w intrygującej książce Drozdowskiego. Ta książka, wydana prawie sześć miesięcy temu, przechodzi jakoś bez echa i jest to jeszcze jeden dowód (to paradoksalne, lecz prawdziwe), że Drozdowski napisał książkę znaczącą, drażniącą, niepokojącą...

J. WIL

Bohdan Drozdowski **„Stare srebra"**, Wyd. MON 1973, cena 15 zł.

CIEKAWOSTKI NASZEJ PLANETY

O tym, co jadają najchętniej Japończycy, o dzielnicy szlifierzy diamentów w Antwerpii, o południowoamerykańskich kowbojach, o jadowitych wężach i o Republice Samotnych Mężczyzn, czyli o górze Athos i prawosławnych klasztorach oniezwykłej historii i tajemnicach wiary egzotycznego plemienia Druzów, o hodowli i tajemniczych właściwościach „Korzenia życia" — Żeń-Szenia o hodowli pereł, niezwykłej wyspie Hydra, o zawrotnej karierze argentyńskiego wołu, o wyspach Morza Karaibskiego i skarbach pirackich, o „czarnych królach" Czarnego Lądu, o gladiatorach walczących w cieniu Kwitnącej Wiśni, o skorpionach i pająkach wielkości kurczaka, o meczu piłki nożnej w Rio de Janejro, o ceremonii parzenia herbaty i o wielu innych ciekawostkach dziejących się na naszej planecie przeczytasz w zbiorze reportaży Zdzisława Marca pt. „Przez cztery kontynenty" wydanej w serii „Łowcy sensacji" przez „Iskry" (1973).

A.G.

Tłumaczyła: URSZULA ŁADA-ZABŁOCKA (15)

Powinnam spróbować pójść sama do parku? Czemu nie pomyślałam o tym wcześniej? Przecież znajdą się w mieście uprzejmi ludzie. Park nie był tak daleko. Na pewno ktoś pomoże ociemniałej dziewczynie.

Założyłam słoneczne okulary. Nie chciałam pokazywać swojej zeszpeconej twarzy, mogłabym przekreślić szansę jakiejkolwiek pomocy. Wyjęłam z szuflady dziadka jego białą chustkę do nosa. Zawsze używał tylko białych chustek. Sama nie wiem, czemu ją wzięłam. Chyba miałam na myśli białą flagę podczas oblężenia. Wiedziałam, że żołnierze w czasie wojny powiewają białą flagą na znak, że są pokonani. Zabrałam chustkę dziadka i wyszłam na korytarz.

Od czasu ostatniej burzy pogoda się zmieniła. Wszystkie najgorsze zapachy, jakie tylko istnieją na świecie, wtargnęły na schody i osaczyły mnie.

Cofnęłam się. Po chwili znów spróbowałam. Idąc przez korytarz musiałam zrobić o wiele więcej kroków niż każdy inny.

Kiedy podeszłam do schodów, czekałam w nadziei, że ktoś nadejdzie. Nikt się nie zjawił, ale zejście po schodach okazało się łatwiejsze, niż przypuszczałam.

Powietrze na ulicy było ciężkie, parne, nasiąknięte wilgocią. Użyłam chustki dziadka, by otrzeć pot spływający mi po twarzy. Zupełnie jak łzy! Jakbym płakała. Ale nie płakałam. Moje łzy spływają do wewnątrz, a nie na zewnątrz.

Pamiętam, że chcąc się dostać do parku, trzeba pójść w prawo jakieś czterdzieści kroków. Szłam wolno trzymając się blisko domów.

Wiedziałam, że po czterdziestu krokach chodnik się kończy. Ten straszny ruch! Upał! Zaduch!

Zatrzymałam się na skrzyżowaniu. Zbierał się tłum ludzi. Znalazłam się wśród nich. Bez żadnego ostrzeżenia wszyscy nagle zaczęli się poruszać. Chwyciłam się kogoś. Byłam przerażona.

— Odczep się! — Mężczyzna, którego się chwyciłam, odepchnął mnie. Zachwiałam się.

— Proszę mi pomóc — poprosiłam. — Jestem niewidoma.

— Gadanie! Tak właśnie powiedział. Ocierałam się o ludzi. Poruszałam się razem z nimi.

— Chora jesteś kochanie? — usłyszałam czyjś głos.

— Nie. Ale nie widzę. Proszę mi pomóc przejść na skrzyżowaniu.

— Oczywiście. — Ktoś wziął mnie pod ramię i po chwili już minęliśmy skrzyżowanie. Pragnęłam żeby właścicielka pomocnej dłoni pomagała mi również dalej. Ale odeszła. Wszyscy tak się strasznie spieszyli, jakby ich szczury goniły. A może ci ludzie to niewidomi? Może nikt mnie nie widzi? Nie wiedziałam, czy idę na wschód, czy na zachód. W ogóle nie miałam pojęcia, gdzie jestem. Powiewałam chustką.

Znów zebrał się wokół mnie tłum. I teraz też szłam razem z nimi. Jezu! Znów wracałam tam, skąd przyszłam! Czy rzeczywiście? Nie wiedziałam. Byłam tak mokra od potu, jak wtedy podczas burzy. Uciekałam potem ze strachu i z gorąca.

Jeszcze raz przystosowałam się do tempa napierającego tłumu. Uniosłam nad głową chustkę dziadka.

— Pomocy! — Pomóżcie mi! — wołałam. — Jestem niewidoma! — Bez jednego słowa jakaś ręka ujęła mnie pod ramię i przeprowadziła bezpiecznie na chodnik.

Po której stronie teraz jestem? Usiłowałam sobie przypomnieć. Nie potrafiłam. Czy po tej, na której mieszkałam? Nie mogłam sobie przypomnieć.

— Może mi ktoś powiedzieć, czy numer 73 jest po tej stronie? — zawołałam. Znów zaczynał się zbierać nowy tłum wokół mnie.

— Czy numer 73 jest po tej stronie? — krzyknęłam ponownie.

Ludzie śmiali się. Ktoś powiedział:

— Tak. Numer 73 jest po tej stronie.

Chwyciłam się tego kogoś, kto się odezwał. W każdym razie miałam takie wrażenie, że to jest właśnie ta osoba.

— Jestem niewidoma. Nic nie widzę. — Wstydziłam się mego piskliwego, przerażonego głosu. Zdawało mi się, że głos mój poci się tak samo jak ciało.

— Nie masz prawa wychodzić sama. — Ktoś ujął mnie za rękę i podprowadził do numeru 73.

— Tu jest ten numer. Dobrze się czujesz?

— Dobrze, oj, dobrze — odparłam.

— Nie powinnaś wychodzić sama na ulicę — beształ mnie ten sam głos.

Nie wiem, jak przeszłam schody, potem korytarz i znalazłam się w mieszkaniu. Byłam kompletnie wykończona. Dlaczego próbowałam? Czy nie wiem, że nie mam prawa? Absolutnie żadnego prawa...

Powinnam o tym pamiętać. Położyłam się na łóżku. Potem odwróciłam się i leżałam na brzuchu.

— Och, mój najdroższy — szepnęłam. Tylko to byłam w stanie powiedzieć. Powtarzałam to w kółko.

Zdawało mi się, że tak leżę od wieków. Po odgłosach dochodzących z góry wiedziałam, że zbliża się pora kolacji. Słyszałam, jak przyszedł pan Favaloro. Jak wykrzykiwał słowa powitania do żony. Zatrzasnął drzwi.

Upał był coraz większy. Podeszłam do okna. Powietrze stało nieruchome i parne. Niżej z ulicy dochodziły głosy dzieci, które wrzeszczały jak zwykle przy zabawie. Wydawały się tak okropnie szczęśliwe, że zamknęłam okno. Nie mogłam słuchać szczęśliwych ludzi. Podobnie jak tygrys w klatce nie chce oglądać tygrysów biegających na wolności, tak i ja w mojej nieszczęsnej klatce nie chciałam słuchać szczęśliwych ludzi.

Teraz nagle uświadomiłam sobie wyraźnie, że dzień już minął a ja nie poszłam do parku — żeby być z Gordonem. Nie mogłam tego znieść.

Dlaczego mam to znosić? Czy muszę? Czy nie nie mogę na to poradzić?

Miotałam się po pokoju, który tak dobrze znałam. Chodząc mówiłam do siebie i waliłam pięścią w ścianę, w stół, podobnie jak dziadek.

— Muszę to znosić? — krzyczałam jak on.

Czy w ten sposób ludzie wariują? Czyżbym miała zwariować

— Chyba oszaleję! — krzyczałam. — Wiem, że oszaleję...

Rzeczywiście czułam się tak, jakbym miała zwariować. Było to okropne uczucie.

Zaczęłam wzywać dziadka i Rose-ann najgorszymi wyrazami, jakie znałam, a znałam ich niemało...

Wyzywałam też ludzi na ulicy, ten bezduszny motłoch.

No bo kogo, kogo mogłam winić za moją... za moją tragedię?

Znałam Gordona.

Zaczęłam płakać.

Skuliłam się na progu i ponownie zaczęłam płakać. Ale nie mówiłam już paskudnych słów....

— Och, mój kochany... — powtarzałam płacząc.

Byłam zbyt zmęczona, by się podnieść z podłogi. Siedziałam tak dłuższy czas. Ludzie przechodzili korytarzem. Nigdy jeszcze nie słyszałam kroków z tego miejsca, z podłogi. Jakże byłam zmęczona! Jezu! Jak bardzo zmęczona i smutna.

I nic nie mogłam na to poradzić, nic. W każdym razie nie jako Sleena.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Rozległo się pukanie do drzwi. Nie słyszałam, żeby ktoś szedł po schodach. Kiedy usłyszałam pukanie, westchnęłam, żeby nie był to któryś z przyjaciół Rose-ann. Zdarzało się, że musiałam mówić jej przyjaciołom o pokoju na końcu korytarza.

— Kto tam? — spytałam.

— To ja, Joe. Przyszedłem z wiadomością od mego ojca. — Głos był młody i radosny. Ale kto był jego ojcem? Musiał to być jakiś dziwny człowiek, żeby wysyłać syna w charakterze posłańca do kogoś takiego jak Rose-ann.

— Pani D'arcey nie ma w domu — powiedziałam.

— Och! — Głos załamał się. Domyśliłam się, że on, jako dobry syn, bardzo by chciał spełnić polecenie ojca, a tymczasem spotkał go zawód.

Otworzyłam drzwi.

— Jeżeli chcesz, to napisz karteczkę. A ja jej oddam. Późno dziś przyjdzie.

Czułam, jak wpatruje się we mnie. Szkoda, że nie miałam słonecznych okularów.

— Ile masz lat, Joe? — spytałam. Chciałam znów usłyszeć jego dźwięczny, czysty głos.

— Dwanaście.

— To jesteś wysoki — zauważyłam.

— Dosyć — odparł z dumą. Po chwili dodał: — Skąd pani wie, że jestem wysoki? Przecież nie może pani widzieć, prawda?

— Nie widzę, — odparłam. — Ale mogę stwierdzić, że jesteś wysoki, po tym, skąd twój głos dochodzi.

Roześmiał się dźwięcznie

— A to świetne! — wykrzyknął. Głos jego stał się z lekka nieufny. — Dlaczego powiedziała mi pani, że nie ma pani w domu?

— Przecież masz wiadomość nie dla mnie, tylko dla mojej matki.

— Jak to? — Był wyraźnie zaskoczony. — To pani matka też jest niewidoma?

— Czy pani nazywa się Sleena?

— Nazywam się... tak, nazywam się Sleena.

Czy śmiech wszystkich dwunastoletnich chłopców brzmi równie dźwięcznie, jak śmiech tego chłopca? Nigdy dotąd nie słyszałam tak urzekającego śmiechu.

— Ja mam wiadomość dla pani — śmiał się.

Nikt na całym świecie nie przysłał mi jeszcze nigdy wiadomości! Musiałam aż usiąść.

— Kto jest twoim ojcem? Czy on mnie zna?

— Oczywiście, że panią zna — uspokoił mnie. — Nazywa się Faber!

— Jesteś synem mojego przyjaciela, pana Fabera?

— Oczywiście, że tak. — Był dumny, jest jest synem pana Fabera.

— Czy jest coś nie w porządku w tej ostatniej partii koralików? — Jezu! Dosyć zmartwień i bez tego.

— To polecenie nie dotyczy koralików ani też pracy. Tata mówił, żeby panią przeprosić, ale sam nie mógł przyjść z tą wiadomością. Ma dużo pracy. Tata pracuje i to ciężko pracuje.

— Co to za wiadomość? — Co pan Faber mógł mi chcieć powiedzieć? Aż mi się zimno zrobiło z samego tego, że pan Faber przysyła mi wiadomość. — Powiedz — poprosiłam.

— Miałem pani powiedzieć, że do taty dzwonił pani przyjaciel...

Czy to możliwe? Nie, nie, nie, moje myśli przerwały wypowiedź Joe'go.

— ... pan Ralfe...

Wpakowałam sobie czubki palców do ust i cała zamieniłam się w słuch. Chyba jeszcze nigdy nie słuchałam tak uważnie i pilnie.

— I co, i co, mów dalej.

— On, ten pani przyjaciel, prosił tatę, żeby się dowiedział, czy pani czasem nie chora. Jeżeli się pani dobrze czuje, to on, ten przyjaciel, będzie na panią czekał jutro. Tata powiedział, to znaczy raczej ten przyjaciel powiedział, że pani już będzie wiedziała, o co chodzi.

— O, tak. Och, tak. Wiem. To ważna wiadomość. A ty mi ją bardzo jasno przekazałeś.

Pragnęłam jeszcze wykorzystać ostatnie sekundy radości z mojego snu.

— Wszystko w porządku? — spytał radosny głos posłańca z mego snu.

— Tak.

— Wobec tego do widzenia. — Otworzył drzwi i zamknął je za sobą.

Wyszedł. Wiedziałam, że nie śpię. Wiedziałam, że to rzeczywistość. Nie mogłam w to uwierzyć. Było za dobre. Aż nadto dobre!

Joe Faber znów otworzył drzwi. Tym razem nie wszedł. Powiedział tylko:

— O mały włos, a bym zapomniał. Tata mówił, że będzie jutro przechodził. I będzie szedł do pracy przez park. Tata pyta, czy pani chce jutro iść do parku?

— Och, tak, tak.

Dalszy ciąg nastąpi

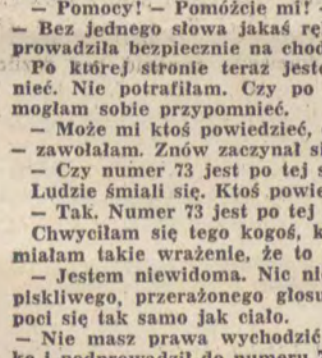

ROZDZIELNIK NA PODROBY

W związku z ukazaniem się wymienionego wyżej artykułu, w którym autor przedstawił niedociągnięcia organizacyjne w PZGS-Łódź, powodujące perturbacje w zaopatrzeniu Szpitala Wojewódzkiego Przeciwgruźliczego w Tuszynie k. Łodzi, dokonaliśmy wnikliwego zbadania sprawy, ustalając co następuje:

Szpital w Tuszynku położony jest na terenie działalności GS ‚SCH' w Tuszynie, przydziały masy mięsnej i podrobowej na zaopatrzenie tego zakładu realizuje i dokonuje dostaw masarnia GS Tuszyn, co czyni od szeregu lat. Dodać należy, że nie było dotąd reklamacji ze strony Dyrekcji Szpitala.

W miesiącu czerwcu i lipcu br. zakład mięsny GS w Tuszynie poddany został modernizacji. Zaopatrzenie Szpitala w mięso, podroby i jego przetwory, zgodnie z decyzją Pełnomocnika Zarządu ds. Produkcji i Usług PZGS Łódź, Ob. mgr J. Owczarza, skierowano do innej jednostki GS na terenie powiatu, pozostawiając wielkości bez zmian tj. 800—1000 kg masy podrobowej. W m-cu lipcu br. obowiązek dysponowania masą mięsno-podrobową dla powiatu, w tym również dla szpitala, zlecono bezpośrednio Kierownikowi Działu Organizacji Produkcji PZGS Ob. Z. Łuczakowi. Jak wynika z wyjaśnień w/w oraz zebranych materiałów, Ob. Łuczak zaniżył w swych dyspozycjach zaopatrzenie szpitala w podroby do 100 kg., a ponadto nie potrafił załatwić słusznych żądań przedstawiciela Dyrekcji szpitala.

Wykorzystując dane zawarte w notatce prasowej Waszego pisma, celem uregulowania sprawy zaopatrzenia szpitala w mięso i przetwory przez zakład GS w Tuszynie, ustalono szczegółowe wytyczne w tym zakresie, zobowiązując PZGS Łódź do nadzoru i kontroli ich realizacji.

Równocześnie wystąpiono do Zarządu PZGS o wyciągnięcie konsekwencji służbowych w stosunku do Ob. Z. Łuczaka za niedopełnienie powierzonych mu obowiązków.

Ponadto nadmieniamy, iż stwierdzenie zawarte w notatce jakoby w WZGS „jeden prezes był chory, drugi na urlopie a zastępująca ich urzędniczka po rozmowie telefonicznej z PZGS też rozłożyła ręce" — nie odpowiada prawdzie, ponieważ ani prezes Zarządu ani pozostali Członkowie Zarządu WZGS nie korzystali i nie korzystają z urlopu wypoczynkowego, ze względu na trwający okres prac polowych i wzmożony ruch turystyczny.

WICEPREZES
Zarządu WZGS
mgr inż. M. Petryniak

ZAWAŁ

Dalszy ciąg ze str. 1

krew. — Wydaje mi się, że należy niezwłocznie odwieźć chorą do szpitala. Podejrzewam zawał.

— A skąd pan wie? Robił jej pan ekagie?

— W szpitalu jej zrobią.

— Jeszcze przedtem ja ją zobaczę!

Przystąpiła do badania, celebrując ten fakt na modłę świeżo upieczonych konowałów. Obejrzała pod światło wręczone jej przez inżyniera zdjęcia żołądka chorej. Powiedziała:

— Te bóle są pochodzenia trzustkowego.

— Ależ pani doktor!...

— A ten wrzód i tak się nigdy nie zagoi.

— Proszę pani — powiedział inżynier sięgając do przeszłości...

I sytuacja towarzyska uległa gwałtownej poprawie, jako że lekarska chodziła kiedyś z inżynierem i jego żoną na te same kursy języków obcych, i wszyscy przypomnieli sobie raptem te godną najwyższego podziwu znajomość.

— Ciocia chyba rzeczywiście ma zawał — przyznała lekarka, z lekka bocząc się jeszcze na lekarza.

— Pomoże nam pani?

— Oczywiście, przecież po to tu jestem.

W ten sposób chora trafiła do szpitala.

W parę dni później zmarła.

Szalony reporter forsowałby na moim miejscu tezę, że gdyby transport cioci odbył się o trzy godziny wcześniej, a więc już w czasie pierwszej wizyty Pogotowia, byłyby szanse na utrzymanie chorej przy życiu. Ale ja nie mam zamiaru forsować tej tezy. Nie ma zamiaru forsować jej nawet rodzina inżyniera, której tragedia bezpośrednio dotyczy, albowiem są to ludzie rozsądni, nie lubiący spekulatywnych dociekań...

Nie chciałbym również poprowadzić swojej narracji w stylu napastliwym, chociaż bez trudu mógłbym zaserwować kilkanaście podobnych opisanemu zdarzeń, z których nie wszystkie zakończyły się szczęśliwie, a nie wszystkie dotyczyły bynajmniej osiemdziesięcioletnich bez mała staruszek...

Nie będę się także powoływał na historię, która zbulwersowała przed laty łódzką opinię publiczną, znajdując odbicie na łamach „Dziennika"...

Uważam, że przytoczone przeze mnie fakty należy poddać wnikliwej, racjonalnej analizie, unikając bicia w wielkie dzwony i rezygnując z niepotrzebnej sensacji. I jakkolwiek nigdy nie zajmowałem się na co dzień problemami służby zdrowia, pozwolę sobie na garść dalszych, związanych z Pogotowiem refleksji, wierząc, że będzie to punktem wyjścia do szerszej dyskusji, przy czym pragnę zachęcić Czytelników do nadsyłania listów w tej sprawie, nic bowiem nie stoi na przeszkodzie, aby wybór tych listów znalazł miejsce na łamach „Odgłosów" i pomógł Wydziałowi Zdrowia w dokonaniu koniecznych zmian.

X

Jestem, jako się rzekło, dyletantem w sferze poruszanych zagadnień, ponieważ jednak, za wyjątkiem pięćdziesięciu dwóch tysięcy lekarzy, reszta kraju także składa się z dyletantów, nasz głos, choćby nie wiem jak dyletancki, zasługuje na baczną uwagę.

Jeśli nas, dyletantów, zapyta ktoś: czym jest Pogotowie? odpowiadamy po krótkim namyśle: ostatnia deska ratunku.

Jest to, rzecz jasna, odpowiedź banalna, wyrażająca nie tyle stan faktyczny, co pobożne życzenie.

Pogotowie powinno być ostatnią deską ratunku, ale wiemy z drugiej strony, że

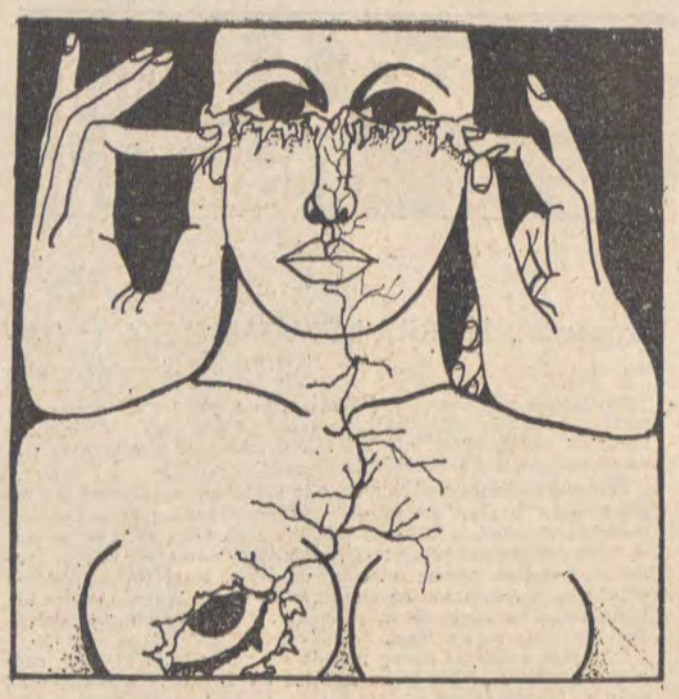

pośród innych instytucji leczniczych — szpitali, poradni, przychodni, sanatoriów — Pogotowie zajmuje ostatnią pozycję.

Wyposażenie budynku Pogotowia — a znam i opisywałem kiedyś zarówno ten, co ma służyć Pogotowiu Łódzkiemu i mieści się w ciasnej posesji przy ulicy Wólczańskiej, jak i ten nowy, miejski, przy ulicy Sienkiewicza — pozostawia wiele do życzenia. Baza transportowa (owe dychawiczne nysy i warszawy, które oglądamy codziennie na ulicach) też nie wymaga komentarza. Najwięcej jednak zastrzeżeń budzi siła rzeczy kadra lekarska.

Nie będzie chyba przesady w twierdzeniu, że lekarze traktują pracę w Pogotowiu na modłę aktorów teatralnych, którzy dorabiają chałturami w prowincjonalnych estradach i produkują się na marginesach wolnego czasu w fabrycznych świetlicach. Sławy lekarskie pracują w szpitalach specjalistycznych, klinikach, czasami w spółdzielniach — jest to ich przywilej, obowiązek i prawo: to, co robią dla społeczeństwa, nie przynosi wprawdzie bezpośrednich efektów produkcyjnych, ale podobnie jak w przypadkach paraliżu miejskiej komunikacji, czy też totalnej awarii sieci wodociągowych, ich nagła nieobecność mogłaby pośrednio przynieść ciężki deficyt we wszystkich dziedzinach życia. Średnia kadra lekarska: ludzie o rzetelnej praktyce i solidnej wiedzy, z których większość ma ciepły stosunek do pacjentów, a pacjenci darzą ich zaufaniem — pracuje w różnego typu przychodniach i nie ulega wątpliwości, że ich działalność reguluje każdego dnia tryby wielkich aglomeracji. W Pogotowiu natomiast, instytucji, która nie gwarantuje stałego kontaktu z pacjentem i nie starza większych możliwości na poszerzenie wiedzy fachowej, znajdują najczęściej zatrudnienie lekarze młodzi, traktujący swoją pracę tutaj bądź jako stosunkowo niezłe źródło dochodu, bądź jako pierwszą lekarską przygodę: jeden z początkowych, przejściowych szczebli w drodze do tzw. kariery. Jest również w Pogotowiu część lekarzy starszych, ale, powiedzmy szczerze, mniej ambitnych, takich, którzy nie sprawdzili się gdzie indziej, i takich, którzy nie chcieli się sprawdzić.

W pewnych kręgach panuje zatem opinia, że praca w Pogotowiu nie jest zaszczytem, Pogotowie ma spełniać tylko rolę łącznika pomiędzy pacjentami a szpitalami i poradniami. Pogotowie wozi, inne placówki leczą... Ci jednak, którzy zmuszeni są od czasu do czasu korzystać z usług Pogotowia, chcieliby, żeby było inaczej, żeby pojawiający się w progu lekarz umiał odróżnić serce od trzustki, płuca od wyrostka robaczkowego; żeby wiedział w jakiej pozycji należy układać na noszach ludzi z podejrzeniem zawału i uszkodzeniem kręgosłupa...

Sprawiedliwość wymaga, aby powiedzieć, że praca w Pogotowiu jest nie tylko bardzo odpowiedzialna, decydująca nieraz w ciągu kilku minut o życiu człowieka, ale również niezwykle ciężka. Lekarze, a przecież jest takich wielu, którzy uczciwie wykonują w Pogotowiu swój zawód, żyją w nieustannym napięciu — ich sen raz po raz przerywają alarmowe dzwonki, ich interwencje nie ograniczają się wyłącznie do czcigodnych, mieszczańskich domów, przebiegając także szlakiem melin, gdzie można zarobić w oko, szlakiem krwawych burd, bandyckich napaści, kraks samochodowych, napadów szału i samobójstw. Praca w Pogotowiu wymaga nie tylko wysokich zawodowych kwalifikacji, ale również męskiej odwagi, na którą nie zawsze może (nic dziwnego) zdobyć się młoda kobieta.

Spróbuję również wcielić się na moment w położenie dyżurujących przy telefonach dyspozytorów, którzy przyjmują zgłoszenia o wypadkach. Jasne, ich zadanie jest nerwowe, trudne. Ich głos — lodowaty, nieufny, podejrzliwy — często daje się usprawiedliwić, bo często napływają z miasta fałszywe alarmy i nieuzasadnione wezwania, często Pogotowie jedzie na sygnale do chorób urojonych, podczas gdy gdzie indziej czekają na pomoc ludzie rzeczywiście chorzy. Niejednej z dyspozytorskich pomyłek towarzyszy szereg okoliczności łagodzących, i za niejedną tragedię odpowiada pośrednio nie Pogotowie, a społeczeństwo. Tak się jednak dzieje, że w chwili strachu (uzasadnionego lub bezpodstawnego) człowiek sięga po telefon. Nie on jest przecież lekarzem. Nie on może ocenić stan swego zdrowia. Ma natomiast święte prawo do strachu i pomyłki — boi się poruszyć, podejrzewając u siebie zawał, a to jest tylko niewinna kolka; domniemany uraz czaszki okazuje się banalnym siniecem... Ale stwierdzić to potrafi dopiero lekarz. Zdarzało się przecież, że ulegający wypadkom ludzie bagatelizowali swoją chorobę; nie dzwonili po Pogotowie i umierali...

Usprawiedliwiając nieufność dyspozytorów należy także usprawiedliwić przesadną nieraz ostrożność pacjentów. Każdy chce żyć i każdy ma prawo o swoje życie walczyć. W moim przekonaniu Pogotowie jest nie tylko po to, aby zabierać do szpitala ludzi beznadziejnie chorych, ale i po to, żeby rozwiewać obawy tych, którzy z jakichś tam powodów ulegli panice. Wiem, padnie tu kontrargument, że taka zasada mogłaby spowodować lawinę nieuzasadnionych zgłoszeń z miasta. Ale są sposoby, żeby temu w rozsądnych granicach przeciwdziałać: ot, chociażby poprzez ściąganie konwencjonalnych opłat...

Reasumując — Pogotowie domaga się reformy, od bazy transportowej począwszy, na kadrze lekarskiej skończywszy. Jest to, rzecz jasna, tylko mój dyletancki głos w dyskusji. Ale jest to również moje gorące pragnienie, aby w Stacjach Ratunkowych pracowali równie wspaniali, mądrzy i życzliwi pacjentom ludzie, co w szpitalach i poradniach, aby lekarz Pogotowia zawsze wykonywał swój piękny i odpowiedzialny zawód z należytą godnością.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Z DZIEJÓW ŁÓDZKIEGO KSIĘGARSTWA

JULIUSZ CEZAR SPRZEDAJE KSIĄŻKI

MIJA WŁAŚNIE 125 LAT OD ZAŁOŻENIA PIERWSZEJ KSIĘGARNI W ŁODZI. DO POŁOWY ZESZŁEGO STULECIA MIASTO NIE POSIADAŁO STAŁEGO MIEJSCA SPRZEDAŻY KSIĄŻEK I LUDNOŚĆ ZAOPATRYWAŁA SIĘ W NIE U HANDLARZY WĘDROWNYCH, KTÓRZY W DNI TARGOWE ROZKŁADALI SWÓJ TOWAR NA STRAGANACH.

Pierwszą stałą księgarnię w Łodzi założył w 1848 roku J. Gutsztadt. Znalazła ona pomieszczenie na Starym Mieście przy ul. Piotrkowskiej nr 75 (dzisiaj Nowomiejska). Właściciel traktował ową księgarenkę jako interes uboczny, główną uwagę kierując na „handel towarami sukiennymi, jedwabnymi i norymberszczyzną". Księgarnia posiadała na składzie „dzieł klasycznych i do czytania 310". Pod dziełami klasycznymi należy rozumieć podręczniki szkolne, a pod dziełami „do czytania" — książki beletrystyczne. Z raportów prezydenta miasta wynika, że Gutsztadt przez okrągłe dziesięć lat był jedynym księgarzem w Łodzi.

Nieustanny rozwój miasta oraz rozbudowa szkolnictwa wywołały zwiększone zapotrzebowanie na książkę. W 1859 roku powstała więc za konsensem Rządu Gubernialnego Warszawskiego nowa księgarnia Juliusza Arndta i Gotfryda Berlacha. W związku z ruchami powstańczymi 1863 roku księgarze łódzcy złożyli oświadczenie, że nie posiadają na składzie i że nie będą sprowadzać do swych księgarni następujących zakazanych książek: „Regulamin piechoty i służba obozowa" oraz „Musztra kosynierska".

Do roku 1872 przybyły Łodzi dwie dalsze księgarnie, a mianowicie A. Milscha i L. Heidricha. Najpoważniejszą firmą była jednakże księgarnia Arndta, mieszcząca się przy ul. Piotrkowskiej nr 13. Sprowadzała ona na skład książki w językach: polskim, niemieckim, francuskim i angielskim. Posiadała także podręczniki szkolne, atlasy, globusy, nuty.

Pewien przełom w stosunkach księgarskich Łodzi nastąpił z chwilą założenia pierwszej księgarni wydawniczej pod firmą „Cezar Richter". W listopadzie 1872 roku ukazało się w jedynej podówczas w Łodzi gazecie „Lodzer Zeitung" następujące ogłoszenie w języku polskim:

Niniejszym mam zaszczyt zawiadomić Szanowną Publiczność, że istniejący przy ul. Piotrkowskiej pod nr. 256a skład materiałów i galanterii, jak również księgarnię nabyłem od pani Heidrich, którą odtąd pod firmą „Cezar Richter" prowadzić będę... Dziesięcioletnia praktyka w znanej warszawskiej księgarni S. H. Merzbacha oraz rozległe stosunki dają mi możność uskuteczniać wszelkie zlecenia ku zadowoleniu Szanownej Publiczności i wypełnienia sumiennego przyjętych obowiązków".

Juliusz Cezar Richter zasłużył się w księgarstwie łódzkim, gdyż pierwszy w Łodzi spróbował swych sił na polu wydawniczym. Począwszy od roku 1879 wydawał on kalendarz w języku niemieckim pod tytułem: „Lodzer Illustierter Haus und Familien Kalender". W 1882 roku Richter sprzedał wydawnictwo i księgarnię, która mieściła się wtedy przy Piotrkowskiej nr 17, Ludwikowi Fiszerowi, a sam założył przy ul. Cegielnianej nr 4 (dziś Jaracza) „księgarnię kolportacyjną", podejmując się „wszelkie dzieła i wydawnictwa w języku polskim lub zagraniczne przez jakiekolwiek gazety i katalogi ogłaszane" dostarczać swoim klientom. Od roku 1889 jego nakładem ukazywały się popularne kalendarze informacyjno-adresowe pod tytułem „Łodzianin". Przez kilkanaście lat informowały, uczyły i bawiły one mieszkańców Łodzi. Część literacka kalendarzy zawierała felietony, opowiadania, wiersze oraz sporo wiadomości historycznych i statystycznych o Łodzi. Richter wydał także w 1893 roku pierwszy przewodnik po naszym mieście.

Najwybitniejszym księgarzem-nakładcą był jednak wówczas Ludwik Fiszer. Nabytą od Richtera księgarnię po dwóch latach przeniósł na ul. Zawadzką nr 1 (dziś Próchnika), a w 1896 roku na Piotrkowską nr 48. Księgarnia Fiszera była największą i najlepiej zorganizowaną placówką księgarską w Łodzi oraz jedną z najpoważniejszych w Królestwie Kongresowym. Zakres jej działalności był bardzo szeroki. Poza książkami w kilku językach sprzedawano nuty, materiały piśmienne, prowadzono prenumeratę pism, wypożyczalnię książek oraz introligatornię.

Podstawowym artykułem handlu były książki beletrystyczne, podręczniki szkolne i książki dla młodzieży. Dzieła naukowe znajdowały znacznie mniej nabywców. Specjalnością księgarni Fiszera był nakład podręczników szkolnych i książek dla dzieci. W ciągu 50 lat istnienia firma wydała ponad pięćset druków tego rodzaju. W latach 1899—1900 u Fiszera wychodziło pierwsze w Łodzi czasopismo kulturalno-literackie „Ognisko Rodzinne". Fiszer trudnił się także dostawą książek i podręczników dla księgarń prowincjonalnych.

W ostatnim dziesięcioleciu ubiegłego wieku działały w Łodzi dwie księgarnie nakładowe, prowadzone przez właścicieli zakładów drukarsko-litograficznych. Pierwsza z nich została otwarta w 1892 roku przy Piotrkowskiej nr 18 przez byłego kierownika drukarni „Dziennika Łódzkiego" — Walentego Kolińskiego. Potem przeniesiono ją na ul. Średnią nr 23 (dziś Nowotki). W latach 1893—1895 Koliński wydawał kalendarz humorystyczny „Łodzianka". Drugim obok Kolińskiego księgarzem-nakładcą, który równocześnie prowadził zakład drukarski, był Leopold Zoner. W 1893 roku założył on księgarnię przy Piotrkowskiej nr 90, a po paru latach przeniósł ją na tę samą ulicę pod nr 108. Nakładem Zonera ukazywały się broszury o treści popularno-naukowej oraz sensacyjne powieści zeszytowe.

Z innych księgarzy-nakładców dłużej działających w Łodzi wymienić należy Adolfa Słomnickiego. Księgarnia jego, założona w 1899 roku, miała siedzibę przy Piotrkowskiej nr 24. Słomnicki wydawał głównie zbiorki piosenek kabaretowych, seryjne powieści zeszytowe i popularne broszurki.

W latach późniejszych wyróżniała się działalnością wydawniczą księgarnia Stanisława Miszewskiego, mieszcząca się w lokalu przy Piotrkowskiej nr 87.

Poważną konkurencję księgarniom łódzkim sprawiały warszawskie firmy wydawnicze. Najwcześniej na rynek księgarski Łodzi wszedł Ferdynand Hoesick. Utrzymywał on tu swojego agenta, zajmującego się zbieraniem zamówień na książki i prenumeratę czasopism wśród mieszkańców miasta. Znacznie dalej poszła w tym kierunku firma Gebethnera i Wolffa. W 1912 roku nabyła ona księgarnię Miszewskiego, otwierając w jej pomieszczeniu własną filię.

Księgarnie łódzkie początkowo nie prowadziły działu antykwarycznego i sprzedawały wyłącznie książki nowe, współcześnie wydane. Ceny książek z uwagi na nieznaczne nakłady były niewspółmiernie wysokie w porównaniu z możliwościami finansowymi ogromnej większości łodzian. W tym tkwiła przyczyna sporego zapotrzebowania na książkę używaną, stosunkowo tanią, a więc dostępną dla kieszeni przeciętnego czytelnika. Zapotrzebowaniu temu czyniły zadość antykwariaty, zajmujące się sprzedażą wszelkiej starzyzny książkowej oraz używanych podręczników szkolnych. Wśród nich do znaczniejszych należały antykwariaty Kulisza, Mittlera, Strakuna. Lokowały się one na Piotrkowskiej w ciasnych pomieszczeniach zapchanych po sufity używanymi książkami. Można tam było z każdej dziedziny coś dla siebie wybrać.

U schyłku zeszłego stulecia działało w Łodzi około 20 większych lub mniejszych księgarń, a 5 z nich zaliczało się do księgarń nakładowych.

Księgarze łódzcy, ażeby utrzymać swoją egzystencję, zmuszeni byli obok sprzedaży książek i broszur prowadzić również sprzedaż materiałów piśmiennych, zabawek, galanterii, wyrobów tytoniowych itp. Stefan Gorski, autor wydanej w 1904 roku monografii „Łódź współczesna", scharakteryzował ówczesne księgarstwo łódzkie następująco: „Księgarnie wiodą żywot dość suchotniczy, pośredniczą w prenumeracie czasopism, sprzedają podręczniki szkolne, a pro honore domus zasobniejsi kupcy starają się mieć na składach wszystkie „nowości", zwłaszcza powieściowe, bo te największym jeszcze cieszą się powodzeniem".

WACŁAW PAWLAK

GRZEGORZ MICHALSKI

SUKCESY Teatru Wielkiego W JUGOSŁAWII

Gościnne występy zespołów operowych nie są dziś specjalnie częste i nic w tym dziwnego jeśli zważyć, że do zaprezentowania jednej pełnospektaklowej opery trzeba zaangażować dwieście a czasem i więcej osób: dyrygenta, reżysera, scenografa, choreografa, kilkunastu solistów, 80-osobowy chór, równie liczną orkiestrę, kilkudziesięciu tancerzy baletu i rzadko dostrzeganą, ale bardzo ważną grupę pracowników technicznych. Taką około 300 osób liczącą gromadą wybrał się łódzki Teatr Wielki na występy do Jugosławii.

Po 26 godzinach podróży specjalny pociąg dotarł do Lublany 7 lipca przed południem i natychmiast do pracy przystąpiła ekipa techniczna, która pod okiem scenografa Mariana Stańczaka w pośpiechu rozładowywała, przewoziła do letniej opery i montowała dekoracje do „Halki", tak aby wieczorem mogła odbyć się próba sytuacyjna. Miejscem występów był letni teatr zlokalizowany na dziedzińcu zespołu architektonicznego Krizanke. Ten mały słoweński nekropol stanowi najpiękniejszy fragment średniowiecznej części Lublany. Do pochodzącego z połowy XIII wieku kościoła dobudowywano z biegiem lat budynki towarzyszące a stare przerabiano stosownie do ich zmieniających się funkcji. Najbardziej okazałą postać osiągnęła Krizanke na początku XVIII wieku, kiedy według projektu weneckiego architekta Domenico Rossi wybudowano barokowy klasztor zakonu Rycerzy Niemieckich. Ten właśnie kształt budynków został pieczołowicie zrekonstruowany w roku 1952 i oddany we władanie Festiwalowi Lublańskiemu.

Festiwal w Lublanie ma już 21 lat, należy zatem do seniorów tego typu imprez. Impulsem do jego stworzenia było pragnienie rozwinięcia letniego życia kulturalnego Lublany. W pierwszych latach impreza miała postać „jarmarku różności", na którym — zależnie od zainteresowań — można było posłuchać ludowej kapeli, piosenkarzy rozrywkowych, recitali wybitnych instrumentalistów, obejrzeć popisy żonglerów, tresurę małp i spektakl narodowej opery. Program festiwalu z wolna ewoluował stając się coraz bardziej ambitny i jednorodny aż wreszcie w roku 1960 osiągnął swój obecny kształt. Co dwa lata, wymiennie, odbywają się teraz w Lublanie biennale baletowe i operowe, pierwsze tego rodzaju imprezy w Jugosławii. Stanowią one trzon Lublańskiego Festiwalu, uzupełniany koncertami symfonicznymi (w ubiegłym roku gościła tu orkiestra naszej Filharmonii Narodowej), kameralnymi, występami zespołów pieśni i tańca, koncertami rozrywkowymi i spektaklami teatrów dramatycznych. W większości wykonawcami są naturalnie artyści jugosłowiańscy ale przez estrady tego dwa miesiące trwającego festiwalu przewija się spora grupa gości zagranicznych. W tym roku obok Polaków występowali także Austriacy, Niemcy, Amerykanie, Rumuni, Francuzi, Szwedzi, Wenezuelczycy a w programie znaleźć można tak renomowane zespoły jak The Golden Gate Quartet, Orchestre de Chambre du Comté de Flandre, Harkness Ballet czy chór Wyższej Szkoły Muzycznej z Grazu. Wśród zespołów operowych w konkurencji z najlepszymi scenami jugosłowiańskimi ze Skopje, Belgradu i Lublany łódzki Teatr Wielki zebrał chyba najlepsze recenzje i jego występy zaliczono do najciekawszych wydarzeń tegorocznego festiwalu. Jednak aby opowiedzieć jak do tego doszło trzeba wrócić myślą do wieczoru 7 lipca i pierwszej próby sytuacyjnej „Halki".

Letnia scena Krizanki posiada naturalne ograniczenie w postaci zamykających ją z dwóch stron zabytkowych budynków, z trzeciej zaś muru odgradzającego teatr od ulicy. Marian Stańczak powziął odważny i oryginalny zamysł wykorzystania tego naturalnego otoczenia jako istotnego elementu scenografii „Halki". Wspaniale oświetlona kandelabrami i ozdobiona sluckimi pasami barokowa fasada doskonale współgrała z pozostałymi elementami dekoracji tworząc imponujący pałac Stolnika. Z drugiej strony sceny drzewa i mur stanowiły tło dla z konieczności skromnej dekoracji obrazującej góry. W ten sposób scena osiągnęła imponujące rozmiary około 40 metrów szerokości, 30 głębokości i prezentowała się wyjątkowo efektownie. Stali bywalcy lublańskich festiwali podkreślali potem, że łódzki teatr jako pierwszy wykorzystał naturalną scenerię Krizanki eksponując piękno architektury i nadając przedstawieniu rozmach, o jakim nie marzyli nawet artyści miejscowej opery.

Na próbie Jerzy Zegalski wprowadził jeszcze kilka zmian reżyserskich i w niedzielę, 8 lipca zespół był gotowy do występu. Pierwsze przedstawienie odbyło się bez publiczności i zostało zarejestrowane na taśmie magnetowidu przez Lublańską Telewizję. Przez trzy akty wszystko szło doskonale, pod batutą Bogusława Madeya orkiestra grała pewnie, precyzyjnie i ze swadą — niczym dobry zespół symfoniczny. Na tak wysokim poziomie postawione orkiestry mają tylko najlepsze teatry operowe. Równie dobrze zaprezentował się chór przygotowany przez Włodzimierza Pospiecha, dynamiczne i pełne gracji układy choreograficzne Witolda Borkowskiego znakomicie zatańczył balet. Wśród solistów prym wiodła Halina Romanowska jako Halka ale i pozostali odtwórcy głównych ról bardzo dobrze wywiązali się ze swojego zadania: Izabella Kobus (Zofia), Henryk Kłosiński (Jontek), Jan Czekay (Janusz), Zdzisław Krzywicki (Stolnik), Stanisław Michoński (Dziemba).

Prawdziwy dramat rozpoczął się w czwartym akcie, kiedy okazało się, że dostarczona przez organizatorów w ostatniej chwili fisharmonia fatalnie nie stroi z orkiestrą. Rozbieżność była tak duża, że fałszów nie udało się do końca usunąć.

Nazajutrz drugi spektakl „Halki", już dla publiczności festiwalowej. Tym razem obyło się bez niespodzianek. Sprowadzona nowa fisharmonia miała prawidłowy strój a wykonawcy spisywali się bez zarzutu. W składzie solistów zaszły dwie zmiany: Halkę śpiewała Kira Andrea zaś Jontka Tadeusz Kopacki — oboje bardzo dobrzy artyści. Nie było więc zaskoczeniem kiedy w opublikowanych potem recenzjach jugosłowiańscy krytycy pisali o „znakomitej Halce', stawiając spektakl łódzkiego teatru za „wzór godny naśladowania" i obsypując realizatorów i wykonawców najwyższymi pochwałami. Sukces „Halki" był bezapelacyjny — co cieszyć nas winno tym więcej, że przecież dotyczy polskiej nie bardzo w świecie popularnej opery narodowej.

Kiedy w kilka dni później oglądałem „Halkę" w Splicie, kiedy obserwowałem rosnące z minuty na minutę zainteresowanie międzynarodowej publiczności — żałowałem, że tak niewiele spektakli tej opery dają za granicą łódzcy artyści. Właśnie tam, na obcym terenie, w konfrontacji z innymi zespołami i ze światowym repertuarem operowym najpełniej ujawnia się talent kompozytorski Stanisława Moniuszki, a jego dzieło skutecznie wytrzymuje konkurencję bardziej głośnych pozycji i z pewnością nadal ma szansę wejścia do kanonu repertuaru operowego.

Czas jednak wrócić do Lublany, gdzie łódzki Teatr Wielki wystąpił jeszcze z dwoma spektaklami „Fausta" Gounoda. Obydwa przedstawienia przyjęte były przez publiczność entuzjastycznie choć — w moim przekonaniu — nieco ustępowały „Halce". Słabiej zaprezentowała się orkiestra (dyrygował Mieczysław Wojciechowski), chóry nie błyszczały już poprzednią doskonałością, także grupa solistów była mniej wyrównana. Klasą dla siebie byli natomiast odtwórcy głównych partii — Andrzej Saciuk jako Mefisto, Delfina Ambroziak w roli Małgorzaty (w drugim spektaklu Kira Andrea) i Jerzy Jadczak jako Walenty. Wszyscy wymienieni artyści zbierali rzęsiste brawa, równie gromką owację zgotowano baletowi za Noc Walpurgi, bardzo efektowną choreograficznie (Witold Borkowski) i scenograficznie (Marian Stańczak). I tym razem recenzje były bardzo pochlebne, podkreślały zwłaszcza znakomitą reżyserię (Antoni Majak), scenografię i choreografię.

W ostatnim dniu pobytu w gościnnej Lublanie wizyta u ministra kultury Republiki Słoweńskiej pani Eli Ulrich-Ateni, która zaprosiła łódzki teatr na jedno z następnych biennale do Lublany — a nazajutrz rano wyjazd nad Adriatyk do Splitu.

Po zachmurzonej i deszczowej Słowenii Wybrzeże Dalmatyńskie powitało nas słońcem i ponad 30-stopniowym upałem. Niestety na kontemplację wszystkich uroków tutejszego klimatu i krajobrazu niewiele było czasu — cały pobyt trwał dwie i pół doby, w czasie których trzeba było dać dwa przedstawienia i odbyć tyleż prób. Dla ekipy technicznej oznaczało to pracę całymi dniami i nocami, z krótkimi przerwami dzielonymi między sen, posiłki i pospieszną kąpiel w morzu.

Tegoroczny XIX Festiwal Splitsko Ljeto trwał od 15 czerwca do 15 sierpnia i obejmował imprezy ujęte w trzy cykle: jugosłowiańskiej sceny muzycznej, spektakli operowych, baletowych i dramatycznych oraz 4-dniowego festiwalu muzyki rozrywkowej. W pięciu punktach pięknego starego miasta pod gołym niebem występują tu doskonali artyści ze wszystkich niemal stron świata. Różnojęzyczny barwny tłum turystów nie jest więc skazany na bezmyślną rozrywkową papkę kawiarnianych fajfów i non-stopów, choć i tego gatunku atrakcji każdy spragniony ma w Splicie pod dostatkiem. Jednak oblicze letniego życia kulturalnego tworzą ambitne spektakle muzyczne, dramatyczne i estradowe, których w ciągu dwóch miesięcy odbywa się blisko sześćdziesiąt.

Przedstawienia łódzkiego Teatru Wielkiego odbywały się na Placu Rewolucji, przy widowni na ponad 2000 miejsc. Letnia scena nie była tu najlepiej przystosowana do spektakli operowych: niewygodne, prowizoryczne garderoby, niewielkie wymiary sceny a przede wszystkim fatalna akustyka, którą organizatorzy próbowali udoskonalić przy pomocy aparatury nagłaśniającej. Mimo tych trudności spektakle „Halki" i „Fausta" wypadły prawie tak dobrze jak w Lublanie i spotkały się z doskonałym przyjęciem publiczności. Artyści zbierali zasłużone gratulacje, zaś dyrektor Stanisław Piotrowski „propozycje następnych występów zespołu w Jugosławii.

Po pracowitych i uwieńczonych sukcesem dniach 300-osobowa gromadka z łódzkiego Teatru Wielkiego zameldowała się w domu 17 lipca rano. Jeszcze tego samego dnia spektakl „Henryka VI na łowach", nazajutrz „Halka", potem „Madame Butterfly" i urlop... Zasłużony!

W czerwcu tego roku opinię publiczną Austrii bulwersowała tajemnicza „sprawa Dostala" — łańcuch krwawych zbrodni bez ustalonych motywów. Szwajcarski magazyn „Schweizer Illustrierte", który sporządził swego rodzaju dziennik „polowania" na przestępcę, nazywa tę sprawę zagadką nie do rozwiązania.

Pracownicy służby kryminalnej Austrii, Szwajcarii i Zachodnich Niemiec do dziś usiłują uchylić choćby rąbka tajemnicy tej wyjątkowo zagmatwanej sprawy. Pięć osób zabitych, cztery ciężko ranne — oto bilans tego największego przestępstwa w powojennej historii austriackiej kryminalistyki. Dziennik tego koszmaru został dopisany do końca, ale i tak nikt i nigdy nie dowie się prawdy o sprawie Dostala, bowiem ci, którzy mogliby rzucić jakieś światło na to wydarzenie — nie żyją. Ale otwórzmy dziennik...

ŚRODA, 13 CZERWCA. Niebo na wschodzie różowieje ale wsie i miasta są jeszcze pogrążone w głębokim śnie. Kierowca cysterny z benzyną spokojnie prowadzi wóz szosą w kierunku Wiednia — Neustadt. O godz. 3 minut 28 cysterna wjeżdża na most, który znajduje się na dziesiątym kilometrze od Wiednia. I właśnie w tym momencie ciszę poranka rozdziera ogłuszający wybuch. Kierowca pochyla się do przodu. Jedno, co udaje mu się zarejestrować, to pył i kłęby dymu nad rozoranym betonem mostu, wilgoć świeżej ziemi...

Wyrwa na szosie, drobne odłamki żelaza i kawałki jakiegoś metalu, którego pochodzenia ustalić nie sposób. Wkrótce żandarmi dokonują wstrząsającego odkrycia. Znajdują kawałki ludzkiego ciała, strzępy skóry i odłamki kości. Teraz lekarze służby kryminalnej stają przed niezwykle trudnym zadaniem: usiłują, nieomal z atomów, odtworzyć ciało nie żyjącego człowieka. Zadanie to wydaje się niewykonalne. Wszystko wskazuje na to, że chodzi tu o dobrze przygotowaną zbrodnię.

CZWARTEK, 14 CZERWCA. Gazety zamieszczają obszerne informacje o tragicznym wydarzeniu na wiedeńskiej szosie: kierowca cysterny z benzyną najechał na minę? Nieszczęśliwy wypadek, czy dzieło gangsterów? I tylko pewna kobieta, przeglądając w jednym z domów w Wiedniu poranne dzienniki, zaczyna domyślać się prawdy. Jest to matka 26-letniego urzędnika Richarda Dvoraka. Już dwa dni przed tym wypadkiem powiadomiła policję o zaginięciu syna.

„Miał w kieszeni 20.000 szylingów, zamierzał zapłacić należność za kupioną niedawno farmę. A nazajutrz miał wylecieć do Tokio, żeby wziąć udział w organizowanych tam walkach karate" — powiedziała pani Dvorak komisarzowi policji wiedeńskiej.

Tego samego dnia pojechała do kolegi swego syna, Ernsta Dostala, 23-letniego inżyniera, mając nadzieję, iż zna on miejsce pobytu jej syna. Dostal nie udzielił jej jednak wyraźnej odpowiedzi.

O godz. 16 pani Dvorak zwróciła się o pomoc do policji po raz drugi. Opowiedziała o osobliwym hobby swego syna: pasji do karate, do kolekcjonowania broni i materiałów wybuchowych. Wymieniła także nazwisko Ernsta Dostala najlepszego przyjaciela jej syna, pasjonującego się tym samym hobby. Właśnie od niego chciał kupić farmę jej syn.

SOBOTA, 16 CZERWCA. Policja zebrała informacje o Ernście Dostalu. Z jednomyślnych opinii sąsiadów i znajomych wynikało, że jest to spokojny, uprzejmy i zamknięty w sobie człowiek, mieszkający wraz z rodzicami. Jego ojciec, generalny przedstawiciel pewnej firmy szwajcarskiej cieszył się dobrą opinią. Był człowiekiem zamożnym, autorem kilku książek — powieści przygodowych i kryminalnych.

A jego syn Ernst? „Rodzice kochają go nad życie" — mówili sąsiedzi. — Ojciec gotów jest zaspokoić każdy jego kaprys. Samochód, farma..."

Oficer służby kryminalnej rozmawia z Dostalem — juniorem:

„Tak — potwierdza on — Dvorak zamierzał kupić ode mnie farmę. Ale później rozmyślił się, ponieważ były mu potrzebne pieniądze na podróż do Japonii. Kiedy widziałem go po raz ostatni? Był u mnie 12 czerwca, potem pojechał na jakiś piknik do nieznanej mi miejscowości niedaleko Wiednia. Chciałem nawet jechać razem z nim, ale musiałem zostać w domu".

Mijały dni, a śledztwo nie posunęło się ani o krok naprzód. Gdy Ernsta Dostala powtórnie wezwano do wydziału kryminalnego policji w Wiedniu w celu złożenia zeznań, nikt nie wątpił, że jest to tylko czcza formalność.

PIĄTEK, 22 CZERWCA. Punktualnie o godzinie ósmej trzydzieści Dostal stawił się w wydziale kryminalnym. Znów opowiada, jak spotkał się z Dvorakiem i następnie rozstał się z nim tego samego dnia. Dwóch funkcjonariuszy wydziału opuszcza pokój, żeby dyskretnie wymienić spostrzeżenia na temat zeznań Dostala, dwóch innych kontynuuje śledztwo.

Nieoczekiwanie Dostal zrywa się z krzesła i wyciąga pistolet. Padają strzały. Obydwaj funkcjonariusze zostają ciężko ranni. Kiedy Dostal gwałtownie otwiera drzwi, zagradza mu drogę trzeci. Znów strzały i jeszcze jedna ofiara zbrodniarza, brocząc krwią, pada na podłogę.

Dostal wybiega na korytarz, następnie na podwórko kierując się do wyjścia. Ale w całym gmachu zarządzono już alarm i drzwi są zamknięte. Dostal wraca więc i na swojej drodze znów trafia na policjanta. Strzela aż do skutku. Następnie wpada do gmachu, wbiega na drugie piętro, otwiera okno wychodzące na zaułek i wyskakuje na zewnątrz. Wyciąga pistolet, który w ostatniej chwili zdążył wyrwać z kabury rannego policjanta i zatrzymuje samochód do nauki jazdy:

„Stać! Policja! Wysiadajcie, potrzebny mi jest samochód!" Kierowca i uczeń wykonują polecenie i Dostal na maksymalnej szybkości ginie im z oczu. Na jednej z ulic kupuje w sklepie z bronią pistolet i amunicję i od tej chwili niknie, jak kamień rzucony do wody.

Mniej więcej w tym samym czasie w mieszkaniu Dostalów dzwoni telefon. Do aparatu podchodzi ojciec. Kiedy odkłada słuchawkę na widełki jest bardzo blady. Pospiesznie chowa do kieszeni paczkę banknotów, paszport i opuszcza mieszkanie.

NIEDZIELA, 24 CZERWCA. O godzinie dziesiątej piętnaście Wiktor i Johanna Steiger udają się do swego domku campingowego — „bungalow" w Gross-Enzersdorf na wschodnich przedmieściach Wiednia. 45-letni Wiktor Steiger otwiera drzwi swego domku i... widzi nieznajomego mężczyznę, który natychmiast mierzy do niego z pistoletu. Pierwsza kula trafia Steigera, druga jego żonę, która próbuje ratować się ucieczką. Oboje zostają zabici na miejscu. Przestępca wychodzi na ulicę, wsiada do auta małżonków Steiger i ucieka w niewiadomym kierunku.

Radio i gazety uprzedzają społeczeństwo o groźnym zbrodniarzu. Policja radzi mieszkańcom miasta zamykać drzwi na cztery spusty. Wszystkie drogi wyjazdowe z Wiednia i jego przedmieść blokuje policja. W niedzielę wieczorem udaje się policji wpaść na ślad przestępcy. W pewnym domku myśliwskim, niedaleko miejscowości Weidling, Dostal kradnie broń, amunicję i samochód. W momencie pojawienia się policji udaje mu się uciec.

PONIEDZIAŁEK, 25 CZERWCA. Dostal jest prawdziwym widmem. Za każdym razem znika policji sprzed samego nosa. Tymczasem policja dowiaduje się o ucieczce jego ojca. Jeszcze jedna zagadka...

WTOREK, 26 CZERWCA. W pewnej wiedeńskiej gazecie ukazuje się następujące ogłoszenie: „1919, w poniedziałek bezskutecznie czekałem na ciebie pod zegarem, spróbuję poczekać na ciebie jeszcze w środę i czwartek około godziny 22-giej. Możesz mnie zastać pod telefonem 02774 326".

Zwykłe ogłoszenie. Tylko jeden jedyny czytelnik tej gazety, pomyślał sobie że jest tu coś nie w porządku. Nazajutrz rano dzieli się swymi wtanliwościami z policją, która także dostrzega w ogłoszeniu pewien niezwykły szczegół: liczbę 1919. Jest to rok urodzenia Dostala-ojca. Telefon pod wskazanym numerem milczy, nikt nie podnosi słuchawki. Kiedy wreszcie udaje się odnaleźć właściciela numeru okazuje się, że już od dawna nie był on u siebie w domu — w willi, położonej niedaleko od miejsca zamieszkania rodziców Dostala. Mimo to policja otacza willę. Wybuchają granaty z gazem łzawiącym. Po żeby uzbrojeni policjanci szturmują budynek. Ale w willi nie ma nikogo...

Wkrótce pojawiają się nowe ślady. Do policji zwraca się rodzina posiadająca willę, położona w bezpośrednim sąsiedztwie od dopiero co szturmowanej. „Już od pewnego czasu nie mieszkamy w willi — mówi głowa rodziny — i przestępca mógł się tutaj schronić. Widać z niej doskonale całą okolicę"...

Nie mija pół godziny, jak i ta willa jest już otoczona. Policja dostrzega wewnątrz podejrzany ruch i szybko zaciska pętlę. Proponuje Dostalowi złożenie broni. W tej chwili gwałtownie otwiera się drzwi, Dostal wybiega i próbuje sforsować ogrodzenie. W tym momencie trafiają go cztery pociski jednocześnie. Pada, podnosi jeszcze rękę z pistoletem, ale nie ma już sił, żeby strzelić. Umiera w drodze do szpitala.

Ernst Dostal nie żyje, więc może jego ojciec mógłby wyjaśnić te mroczne zagadki, które do dziś ekscytują opinię publiczną Austrii? Niestety. 54-letni Robert Dostal, po daremnym oczekiwaniu na syna „pod telefonem 02774/326", uciekł do Szwajcarii, a nazajutrz wyjechał do Lueneburga w Niemieckiej Republice Federalnej. Tam, dowiedziawszy się o śmierci syna, popełnił samobójstwo. W pozostawionym liście, zresztą bardzo enigmatycznym, nie poświęcił ani jednego słowa wyjaśnieniu tajemnicy. Pozostały pytania: dlaczego w domu Dostalów znaleziono cały arsenał broni i amunicji? Dlaczego w swoim domu na farmie wybudowali strzelnicę z dziewięciotonnymi murami? Do jakich celów służyła cela tortur, wybudowana w piwnicy domu i tak doskonale zamaskowana, że policja z trudem ją wykryła? Co oznaczają długie spisy nazwisk pewnych działaczy politycznych i społecznych oraz specjalistów z zakresu ekonomiki? Jedno ustalono ponad wszelką wątpliwość: Dostal przez długi czas pilnie śledził dyrektora pewnej wiedeńskiej firmy i skrupulatnie notował w specjalnym notesie zbierane o nim informacje. Czy oznacza to, że ów dyrektor miał być porwany? Same pytania, ani jednej odpowiedzi. Może czas przyniesie rozwiązanie zagadki Dostalów?...

J. CZECH

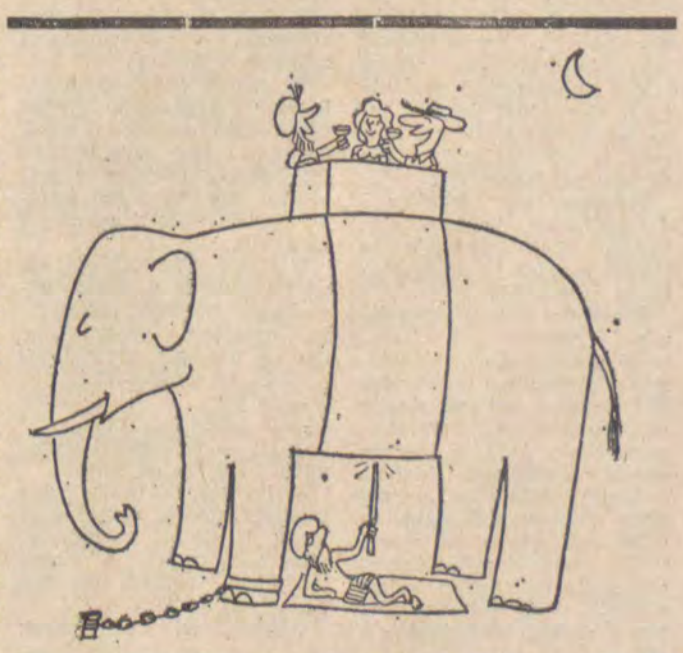

ANTONI KASPROWICZ

OPOWIADANIE

Przebudził się około południa. Przez wąskie szyby okienka jesienne słońce rozświetlało ponurą izdebkę. Leżąc wypoczęty na łóżku, rozmyślał: „Wczoraj był dzień jego imienin, a Rysiek nawet karty z życzeniami nie przysłał. Synowa z wnuczkiem również zapomnieli o samotnym dziadku. Od czasu jak Rysiek awansował na magazyniera i przeprowadził się z żoną i synkiem do nowych bloków — jakby siekierą uciął. Od tej pory pojawił się chyba dwa, trzy razy, a od pół roku to nawet nie wpadł zapytać: — jak żyjesz, stary rencisto? choroba cię nie męczy? głód nie doskwiera?”...

Nie czuł jednak żalu do syna. Wiadomo: młoda żona, dziecko, awans w pracy, nowe mieszkanie, zabiegi o umeblowanie...

Ostatnio, jak Rysiek był u niego, użalił mu się co nie miara: że dychawica, że reumatyzm, że z praniem i noszeniem wody coraz gorzej, a o węglu z komórki na piętro to nawet mowy...

Ciekawe jednak że Rysiek nigdy nie wspomina o matce nieboszczce, która tyle nieprzespanych nocy spędziła nad jego kołyską. a przecież Adelajda była czułą i troskliwą matką i przez całą wojnę o głodzie i chłodzie męczyła się z chłopcem.

Nic dziwnego więc, że kiedy półżywy powrócił z obozowej kaźni do domu, zastał wynędzniałą Adalejdę w łóżku, a po miesiącu wraz z pogrzebnikami wrzucał do jej grobu grudki ziemi, które głuchym echem odbijały się od wieka trumny. Nie załamał się jednak. Stłumił ból, zgasił żal i z większą jeszcze energią zabrał się do pracy w fabryce, w której pracował przed wojną. Męczył się z synem przez kilka lat, ale nie uległ trudom i wytrwał do końca, aż Rysiek ukończył ogólniak i został człowiekiem. Jednak jak sobie dobrze przypomina, Rysio przez cały czas borykania się z ciężkim losem, ani razu nie obdarzył ojca czułym spojrzeniem, lub miłym słowem, nawet gdy chory, sterany obozową męką leżał w łóżku — ten, który go żywił, opierał i podbijał mu zdarte zelówki. A przecież on i nieboszczka byli dobrymi rodzicami. Skąd więc u Ryśka ta obojętność, ta skamieniałość?...

Ale Rysio przy dobrej żonie na pewno wyrośnie z tej zapamiętałości i przypomni sobie starego, osamotnionego ojca — pocieszał się starowina na łóżku. Przecież jak odwiedził go ostatnio, to zostawił mu na stole 20-tkę, która nie ruszona leży dotychczas pod popielniczką. Bo niby na co? Chyba na stawkę w domino lub warcaby rozgrywane u Bieńków. Inaczej nie może być...

A tego Bieńka to poznał w pobliskim parku miejskim, gdzie kilku rencistów i emerytów w pogodne dni letnie rozgrywało na ławeczkach, pod cienistą akacją, ulubione partyjki w pokera lub warcaby. Najbardziej z nich jednak polubił Bieńka, który z cierpliwością wysłuchiwał jego bezustannych wspomnień obozowych i paplaniny o niezwykłej dobroci syna, synowej i wnuczka, którego w rzeczywistości nie widział od dawna.

Pokumali się wkrótce i doszło nawet do tego, że Bieniek zaczął wąchala do siebie zapraszać na warcabowe rozgrywki.

Skorzystał z tego skwapliwie, bo osamotniony w mrocznej izbie, czuł się jak więzień skazany na dożywocie. Ileż to razy zrywał się ze snu po nocach, a przekonawszy się, że żyje jeszcze, opadał na poduszki i klął po trzykroć starość schorowanego rencisty. Od czasu do czasu nawiedzały go nawet myśli samobójcze, bo przecież nie strach przed śmiercią, ale przed niedołęstwem, przed starczą bezradnością i nudą przenikającą serce każdego osamotnionego emeryta, lub rencistę, który zamieszkuje z dala od rodziny, lub jej wcale nie posiada.

Skorzystał więc z zaproszenia emeryta Bieńka i kilka razy w tygodniu zachodził do niego wieczorem na pogawędkę i dziwił się anielskiej dobroci jego połowicy, która podawała im często po szklance dziwizny, parzonej przeciw astmie i jelitowej kolce. A razu pewnego, gdy szykowała pranie, kazała mu przynieść jego brudną bieliznę. Taka to była kobieta.

Jak widać to wśród tej człowieczej zbieraniny zdarzają się jednak ludzie uczuleni na nieszczęście i krzywdę bliźniego.

Pewnego razu umówili się z Bieńkiem, że każdy z nich na zmianę będzie kupował Express, który u Bieńków odczytywany będzie od deski do deski. A Bieniek potrafił z uczuciem jak klecha odstawiać z gazety dramaty, że nieraz trzeba było łzy ocierać. Pewnego dnia nawet, gdy litościwym głosem wydukał o zbombardowanych przez Amerykanów domach i szpitalach w Pleiku, w których poginęli wietnamscy starcy i dzieci, to Bieńkowa, która doświadczyła wiele w czasie hitlerowskiej okupacji, ryknęła takim spazmem, że ledwie uspokoili niebogę. I tak upływały im długie wieczory na wspólnym czytaniu gazety, na grze w warcaby, na wspomnieniach o sanacyjnej nędzy, bezrobociu i krwawych strajkach, lub, co się często zdarzało, na cukrzycowej drzemce.

Rozgłośny zgrzyt gąsienic przejeżdżającej koparki ocknął go z rozpamiętywania, więc powstał z łóżka i krzątając się po izdebce, biadolił rozżalony: starość starością, Bieniek Bieńkiem, a chłopaka mojego jak nie widać, tak nie widać. Może coś się stało w fabryce, może synowa chora, lub co nie daj Boże, wnuczek? Czuł jak mu serce uderza niespokojnie, bo wczorajszej nocy ujrzał we śnie syna stojącego w otwartych drzwiach, bladego, w czarnym garniturze i białych rękawiczkach.

Zaniepokojony, postanowił stanowczo, że nie uda się dziś do Bieńka, lecz odwiedzi syna — i począł żałować, że nie przyszło mu to wcześniej do głowy.

Budzik wskazywał godzinę 16-tą, gdy ogolony i przyodziany w świąteczny garnitur, przyszykowany w szafie na śmiertelny pochówek, zakluczył mieszkanko i udał się do tramwajowego przystanku.

Syn, którego odwiedził już dwukrotnie, mieszkał w nowym osiedlu w północnej dzielnicy miasta i należało wysiąść na krańcówce, skąd po krótkiej pieszej wędrówce dochodziło się do bloków przypominających wojskowe koszary.

Dopiero po czwartym dzwonku zjawiła się w drzwiach zdumiona i zaskoczona wizytą — synowa pachnąca odurzającymi aromatami kuchni.

— Ach, to ojciec! Tu wycieraczka — powiedziała i zniknęła w kuchni.

W pokoju ozdobionym kilimami i landszaftami, na czerwonym dywanie, obok tapczanu, stał okrągły stolik nakryty serwetą, a pod oknem, na wysokim stojaku — telewizor z matowym ekranem.

W chwili, gdy rozglądał się po mieszkaniu, z pokoju sypialnego wyjrzał jasnowłosy chłopiec i przyglądając mu się uważnie, zapytał:

— To ty, dziadziuś?

— A ja!

— A gdzie wąchy?

— Ot — powiedział starowina podkręcając sumy.

— Bo tatuś mówi: gdy wąchala kipnie, będzie nam bieda i plotki w fabryce, albo co gorsze. A mama wzdycha: uchroń nas Boże...

Wtem w uchylonych drzwiach kuchni ukazała się synowa i apetyczny zapach rosołu musnął mu nozdrza, a w przegłodzonym żołądku zamdliło nagle i zaszumiało w uszach, aż zachwiał się i opadł na krzesło, zanim przerażona synowa zdążyła wykrzyknąć: — niech teść usiądzie!

— To tylko serce i reumatyzm i ta cholerna astma — uspokajał nachyloną nad nim synową. Ot i już przechodzi...

— Mamo — wyskoczył nagle wnuczek — podaj dziadkowi rosołu z makaronem, to mu ta astma przejdzie...

— Cicho, smarkaczu! — skarciła go matka — jak dziadek będzie chciał jeść, to sam powie, prawda ojcze?

— Nie jestem głodny, o nie! A przyszedłem do was — usprawiedliwiał się starowina — bo miałem sen paskudny. Więc chciałem zobaczyć jak żyjecie, jak wam się powodzi, no i, co tu gadać — stęskniłem się za wnuczkiem.

— Ale Rysio późno dziś przyjdzie ze szkolenia, więc może odprowadzić teścia do tramwaju, co? — dopytywała troskliwie zaniepokojona synowa.

— Sam pójdę, moje dziecko, bo bym tu dłużej nie wysiedział — a wam niech Bóg błogosławi dalej. A tu, ot — papierek 20-złotowy, pozostawiony kiedyś przez Ryśka u mnie na stole. Oddaj mu to...

— Na pewno ojcze, bo u nas krewa z pieniążkami — powiedziała synowa. — Składamy na trabanta.

— Na kogo?

— No, na auto!

— Na samochód? — zapytał zdumiony.

— A w niedzielę do lasu, lub nad rzekę, to tramwajem, lub koleją mamy się w tłoku telepać z dzieciakiem? Co też teść sobie myśli! Przecież Rysiek jest magazynierem. La Boga, wielkie mi rzeczy samochód! — pytlowała, aż wreszcie usłyszał trzask zasuwki zamykanych za nim drzwi.

Odetchnął z ulgą, na świeżym powietrzu i poczuł się raźniej. A więc nie zastał syna zaharowanego pracą i tym szkoleniem. Biedny chłopak, tyle ma teraz roboty, trosk, zmartwień i kłopotów o tego trabanta. Naprawdę biedne to moje dziecko — biadolił, czekając zziębnięty na przystanku.

Wreszcie gdy tramwaj nadjechał, wsiadł i zajął w kąciku wolne miejsce. Rozejrzawszy się po pasażerach zauważył, że tylko on jeden w chłodny jesienny wieczór nie posiada płaszcza. Jechał więc smutny i zawstydzony, on, ojciec magazyniera.

Nazajutrz po męczącej, nieprzespanej nocy znalazł się około wieczora u Bieńków, zaniepokojonych jego wczorajszą nieobecnością.

— U syna byłem — powiedział i siadł przy stole.

— I co u twego syna? — zapytał Bieniek skwapliwie.

— Wszyscy zdrowi i bogato mieszkają: pokoje, telewizor, radio, dywany. Wkrótce kupią trabanta.

— Auto? — wykrzyknął zdumiony Bieniek.

— A czym, u diabła, będą jeździli w święta do lasu, nad rzekę? W tramwajach i kolejach mają się telepać w tłoku wraz z dzieckiem? Co też Bieniek sobie myśli... Wielkie mi rzeczy, auto, la Boga! Każdy magazynier powinien mieć auto.

— A jak was przyjęli? — podchwyciła Bieńkowa.

— Jak przyjęli? Jak przyjęli? Syn — wódką, synowa — rosołem z kurą, a wnuczek wygłaskał mi wąsy, że hej... Prosili nawet, żebym u nich został na kilka dni, ale odmówiłem.

— A dlaczego ten twój Rysiek nie odwiedza cię tak długo, powiedz wąchalo, co?

— Rysiek, Rysiek. Przecież dobrze wiesz, mój Bieniek, że Rysiek jest magazynierem. Pracy mnogo, a poza pracą — szkolenia i szkolenia. Więc niby kiedy... uważasz? Gdy odchodziłem, to Rysiek ucałował mi obie ojcowskie ręce i wścibnął mi do kieszeni cztery nowe stówy... Cztery nowe stówy, powiadam wam uczciwie, moi drodzy. Kiedy sobie o tym wspomnę, to niech mnie szlag trafi, bo w sercu robi mi się tak ckliwo, że... mówił drżącymi wargami, a uspokoiwszy się nieco dodał po chwili dumnie: o, nie każdy, moi drodzy, może mieć takiego syna! Oj nie każdy...

Tego dnia nie rozegrali żadnej partyjki, bo Bieniek opowiadał, jak to wczoraj rano w mieszkaniu przy ulicy Mrocznej, sąsiedzi odkryli rozkładające się zwłoki samotnego emeryta, którego syn jest podobno aktorem w jakiejś Estradzie na Pomorzu.

— Klęli ludzie i pomstowali, gromadząc się koło domu nieboszczyka, że wstyd, że hańba i przekleństwo dzieciom, co zapominają o chorych i samotnych rodzicach — opowiadał zdenerwowany Bieniek krążąc po mieszkaniu. — Przyjechała karetka, nadleciała milicja, a ludzie nic, tylko w kółko to samo — kończył Bieniek, któremu przerwała małżonka.

— Na pewno jutro będzie stojało w gazecie.

— Nie daj Boże, żeby mnie co spotkało podobnego. Mój Rysiek otrułby się chyba, lub wykończył w tej jego fabryce — powiedział przerażony wąchala, zatrzymując się z pożegnaniem w uchylonych drzwiach.

Na próżno przez kilka wieczorów oczekiwał staruszek nadejścia syna. Na próżno za każdym skrzypnięciem schodów nadstawiał ucha, tłumiąc dłonią pulsujące serce. Na próżno wzdychał po nocach, ocierając łzy rękawem koszuli. Na próżno! Syn się nie zjawił.

Markotniał więc staruszek i sechł coraz bardziej i coraz częściej odczuwał rwący ból w obrzmiałych stawach i piekący ucisk pod sercem. Gdy wchodził po schodach z pudełkiem węgla lub dzbankiem wody, odpoczywał po kilka stopni i wzdychał: o gdyby żyła biedna Adelajda, o gdyby...

Od czasu, jak nawiedzały go te okropne bóle, coraz wcześniej pokładał się do łóżka i coraz rzadziej odwiedzał Bieńka. Przeklinał teraz po nocach chorowitą, zniedołężniałą starość i dzień, w którym trzeba było zejść do sklepu, lub do studni.

Najgorsze jednak, że nie spodziewał się znikąd pomocy, bo syn... wiadomo, krewni... daleko, a sąsiadki unikały starucha, bezbożnika. Wczoraj, gdy prosił wychodzącą do sklepu Łatkowską, by kupiła mu z łaski swojej półtoraczek — prychnęła: „Mam swoich kłopotów dosyć na głowie!” Oj, ludzie, ludzie...

I wreszcie nastąpiła chwila, że nie mógł wygramolić się z pościeli i głodny cały dzień przeleżał w łóżku, rozmyślając: „W kościach rwie i łamie, nogi puchną i coraz częściej brak tchu w piersiach, więc o poprawie nie ma mowy, a pomocy znikąd”.

Bardziej przejmowała go strachem myśl, żeby nie kipnął i nie gnił, jak ten na Mrocznej, zapomniany przez syna, Boga i ludzi... a zhańbiony Rysiek był powodem przekleństw ludzkich w blokach, na ulicy i, co nie daj Boże, w fabrycznym magazynie.

Ale on — dobry ojciec wie doskonale, że nie doprowadzi do takiego momentu... Nie na próżno przecież rozmyślał ostatnio po nocach, jak by tu z honorem zejść z tego skłóconego świata i syna od hańby uchronić... to jego pomyślunek.

Kiedy więc pewnego dnia wpadł do niego zasapany Bieniek, zaniepokojony kilkudniową nieobecnością wąchali, staruszek oznajmił mu:

— Dziś sobota, bo otrzymałem rentę, a jutro już mnie w domu nie ma, i u ciebie mnie nie ma, bo będę przez tydzień siedział u syna. A jak wrócę, mój Bieniek, to znów będziemy rozgrywać partyjki i niuchać w Expressie. Przecież mówiłem ci, że zapraszali, że błagali mnie... a przez te kilka dni u syna wypocznę sobie, nażrę się do syta i uraduję... A u niego gaz, u niego elektryka i radio u niego i telewizor u niego i centralne u niego i nawet wychodek w mieszkaniu. Więc jak to Bieniek uważasz, co?

Na próżno jednak Bieniek po upływie tygodnia wyglądał niecierpliwie wąchali. Nastąpił poniedziałek — wąchali nie ma, nastąpił wtorek — nie ma, we środę i czwartek też nie ma, a i w piątek oczekiwali go daremnie do późnego wieczora. Bieńkowa jednak była pewna, bo śniła się jej jaskółka, że bezapelacyjnie w sobotę zjawi się u nich wąchala, który musiał dłużej zabawić u syna.

Uspokojny zapewnieniami żony, stroskany Bieniek, kręcił się niespokojnie po mieszkaniu, mamrotał do siebie, od czasu do czasu machał ręką, jakby muchy oganiał aż wreszcie zniecierpliwiony wybiegł do pobliskiego kiosku.

Gdy powrócił, założył druciane okulary i zaczął przy stole przeglądać Express. Po pewnej chwili porwał się nagle i z trzaskiem odtrąciwszy krzesło, krzyknął: Agnieszko!

Podskoczyła przerażona od kuchni, a on podsunął gazetę pod okulary i dukał: „Komunikat MO — W dniu 20 listopada w lesie podmiejskim odkryto zwłoki wisielca w wieku około 60 lat, wzrost około 170 cm, sylwetka szczupła, długie, siwe wąsy. Przy zwłokach denata nie znaleziono żadnych dokumentów. Ktokolwiek posiada jakąś infor...” nie dokończył Bieniek, bo zachłysnął się łzami, a gazeta z drżących rąk wypadła mu na podłogę.

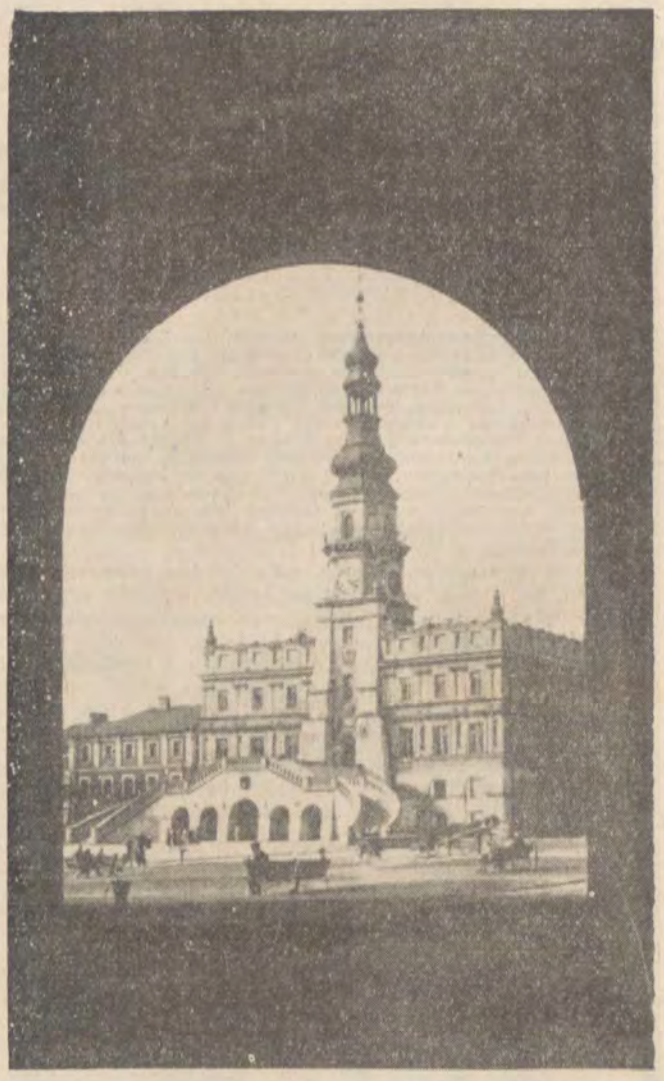

TROSZCZMY SIĘ, RODACY...

Dalszy ciąg ze str. 1

Polski nowoczesnej, po nowoczesnemu zagospodarowanej.

Ale równocześnie jakże często potrafimy być złymi gospodarzami, krótkowidzami ledwie-ledwie dostrzegającymi koniec swego nosa, wandalami na wspólnym podwórku, niefrasobliwymi utracjuszami, trwoniącymi majątek materialny i kulturalny, konserwatystami i nieukami.

Te rozbieżności jawią się nam nie w subtelnych półtonach, lecz niestety, w czarno-białych kontrastach. Ponieważ nie są to przypadki błahe, ich występowanie nie jest sporadyczne, precedensowe, a przeciwnie — w niektórych wypadkach nagminne i codzienne, należy poddawać je wciąż pod pręgierz Bowiem są chorobą, z której musimy wyleczyć się jak najszybciej. Wszak niepodobna jednocześnie tworzyć i niszczyć. Nie można też dla korzyści doraźnych zaprzepaszczać wartości, których nie będziemy w stanie odtworzyć powtórnie. Poza tym nie stać nas na to, aby potencjał wartości propagandowych, ekonomicznych i kulturalnych, który jeszcze posiadamy, leżał odłogiem, nie procentując, a przeciwnie — niszczejąc w zaniedbaniu i zapomnieniu.

Na przestrzeni wieków i w latach niedawnych ponosiliśmy straty we wszystkich dziedzinach życia, a najbardziej okaleczono nam Ziemię naszą i naszą kulturę materialną. Dlaczego więc w tak zastraszająco nieraz niefrasobliwy i nieprzemyślany sposób podchodzimy do niektórych spraw? Dlaczego z tak krótkowzroczną nonszalancją podejmujemy decyzje, które, wiadomo, że obrócą się przeciwko nam nie za sto czy dwieście lat, ale już jutro. Słusznie napisał w „Kulturze" J. P. Pruszyński, że u pokoleń przyszłych legitymować się będziemy nie obecnymi dokonaniami w technice, a tym, co zrobiliśmy dla środowiska naturalnego, dla pomników kultury. Wystawią nam świadectwo mury starych budowli, lasy, rzeki. I one to powiedzą przyszłym pokoleniom: Polacy lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych byli kulturalni, troskliwi i mądrzy, albo też — Polacy tych lat byli barbarzyńcami...

Niewiele osób postronnych zdaje sobie sprawę ze stopnia dewastacji naszego środowiska naturalnego. Jest to stopień wysoki. Ktoś będzie może przytaczał w odpowiedzi statystyki, z których wyniknie, iż w krajach zachodnich jest jeszcze gorzej. Ale te porównania po pierwsze — nie interesują nas jako że nie mają absolutnie nic do rzeczy w konfrontacji z naszymi własnymi sprawami, po drugie — warto zwrócić uwagę na marginesie na fakt intensywnej reanimacji obumarłych i niszczejących środowisk w tychże krajach. I na marginesie jeszcze, że owa reanimacja najlepiej nawet prowadzona nigdy nie przywróci określonemu środowisku jego pierwotnych wartości. Zawsze będzie to już tylko substytut bardziej lub mniej udany.

My budowaliśmy i budujemy przemysł bardzo często tam, gdzie budować go nie należało, gdzie jego lokalizacja była i jest równoznaczna z wyrokiem śmierci dla natury, dla lasu, powietrza i wody — okolice Augustowa, okolice jeziora Wigry, Puławy, rejon Ojcowa. Dziś o tym wiemy, dziś mówimy, że można było ten przemysł budować gdzie indziej, bez szkody dla samego przemysłu, za to z korzyścią dla środowiska naturalnego. Czy wiemy to jednak na pewno? Przykład jeziora Wigry i zlokalizowanie w jego najbliższym sąsiedztwie zespołu kopalń kruszywa oraz w konsekwencji transport kopalin pociągami przez Puszczę Białowieską przeczy jakobyśmy wyciągnęli słuszne wnioski z dotychczasowych doświadczeń. Na będę przytaczał tu niezliczonych przykładów — znane są powszechnie z prasy, telewizji, radia. I takoż... z autopsji tym, co mają zwyczaj spędzać czas wolny na tzw. łonie natury.

Przemysł fatalnie, bezprogramowo zlokalizowany, przemysł bez odpowiednich urządzeń profilaktycznych — filtrów, oczyszczalni, wytłumiaczy hałasu itp. nie jest jedynym wrogiem człowieka i jego środowiska. Wrogiem numer dwa jest z gruntu fałszywa gospodarka obszarami, uznanymi za tak zwaną atrakcję turystyczną. Gospodarka obszarami, które mają służyć za miejsce wypoczynku ludzi pracy i magnes przyciągający turystów zagranicznych. Tymi obszarami, które z racji odwiedzania ich właśnie przez tych zagranicznych turystów, mają spełniać rolę jednej z wizytówek naszego kraju. Warszawa Warszawą, Gdańsk Gdańskiem, Kraków Krakowem, ale są jeszcze na przykład jeziora mazurskie. Unikalny zespół wodno-leśny, niebywała atrakcja turystyczna leży nie zagospodarowany, leży odłogiem. Nowoczesna turystyka ma swoje wymogi i do nich trzeba się dostosować, jeżeli chcemy sprzedawać uroki naszej ziemi. (Wszak jest co sprzedawać). Dowcip tkwi w tym, aby dostosować się do tych wymogów mądrze i... szybko. Turysta krajowy i zagraniczny chce dziś mieć obok pięknych widoków minimum komfortu, a najlepiej jest, jeśli są piękne widoki i komfort pełny. Co to oznacza — tłumaczyć nie potrzebuję chyba. Jakie korzyści przynieść to może — tego wyliczać nie ma potrzeby. Mazury nie są wyjątkiem. Tak samo jest w Bieszczadach, w Puszczy Solskiej, w Szwajcarii Kaszubskiej. Kilka ośrodków wybudowanych przez resorty, zjednoczenia, poszczególne zakłady, czy fundusz wczasów nie rozwiązuje kwestii, brak jest bowiem kompleksowego zagospodarowania tych rejonów pod kątem ruchu turystycznego. I aby uprzedzić ewentualne usprawiedliwienia w rodzaju: mamy dwie restauracje, pole namiotowe, camping, plaże strzeżone, powiem, że jeśli turysta musi czekać w kolejce godzinę na obiad, albo iść kilometr po wodę, bo na campingu jej nie ma — to nie zabezpieczono mu nic!

Problem inny — zabytki. Skarby kultury naszej, dziedzictwo naszych dziadów i pradziadów, żywa księga historii i także turystyczny „towar". A co my z tymi zabytkami robimy? Owszem, w Krakowie, w Gdańsku, w Wilanowie dmuchamy na nie i chuchamy. Ale są przecież jeszcze te wszystkie inne zabytki, rozrzucone po całym kraju. Co z nimi?

„Wiele zabytków — to siedziby przedsiębiorstw, urzędów, instytucji kulturalnych i społecznych. Historyczne budowle mają zwykle wnętrza adaptowane do pełnienia określonych funkcji użytkowych. Na ogół ich obecni użytkownicy dbają o nie. Istnieją jednak przykłady bezmyślnego niszczenia lub też oszpecania budowli zabytkowych. Na przykład zdewastowany został przez użytkowników pałac w Waplewie Wielkim. Do ruiny doprowadzono administrowane przez PGR-y dworki poszlacheckie na Powiślu. Nieporozumieniem jest — łagodnie mówiąc — odbudowa, a następnie przekształcenie wielkiego gotyckiego młyna w Gdańsku w magazyn bubli przemysłowych oraz kolejna propozycja przebudowy tego obiektu na dom handlowy. Znajdujące się w gestii Państwowego Funduszu Ziemi, niszczeją takie obiekty, jak dwór neoklasycystyczny z XIX w. w Grzegorzewicach, pałace w Studzieńcu i w Tułowicach. ZUS nie wywiązał się ze swoich zobowiązań, przejmując w użytkowanie pałac klasycystyczny z XVIII wieku w Luberadzu.

Na liście szczególnie zaniedbanych obiektów znajduje się średniowieczny zamek w Chrzelicach, użytkowany przez tamtejsze nadleśnictwo. Klasycystyczny, XIX-wieczny pałac w Nozdrzcu przeznaczony został przez miejscową GS na magazyn — głównie takich konserwujących materiałów, jak wapno hydratyzowane i cement. Zupełnie niekonserwowany jest drewniany szlachecki dworek z XVIII wieku w Krzeczowicach, najpiękniejszy tego typu zabytek na ziemi rzeszowskiej, użytkowany przez filię Stacji Hodowli Roślin w Mikulczycach". Tyle z „Biuletynu Informacyjnego" PAP z 28.VI.1973 r. Wystarczy, choć lista jest bardzo, bardzo niepełna.

27 czerwca 1973 roku w Bibliotece Zamku Królewskiego w Warszawie zorganizowana została staraniem Ministerstwa Kultury i Sztuki wystawa fotograficzna „Zabytki do zagospodarowania społecznego". Zaprezentowano tam fotogramy obiektów oraz obszerny katalog zabytków, które należy zagospodarować natychmiast, ratując je tym samym od całkowitej i ostatecznej dewastacji. J. P. Pruszyński w „Kulturze" jednoznacznie i trafnie określił ową wystawę: „Z informacji wynika, że jest to coś w rodzaju giełdy czy targów zabytków. Targi? — oburzy się ktoś. Handel dobrami kultury? Właśnie tak! A raczej pierwszy przejaw rzetelnej troski o krajobraz kulturowy, opartej na przeświadczeniu, że oprócz niewymiernej wartości kulturalnej zabytki mają wartość, pozwalającą „włączyć je we współczesne funkcje społeczne", a ich ochrona to nie mania, ale dobrze pojęta kalkulacja ekonomiczna. (...) Dlaczego dopiero teraz zauważa się katastrofalny stan zabytków? Związane jest to z perspektywicznym planem zagospodarowania turystycznego w kraju i kompleksowym programem ochrony środowiska, w skład którego wchodzą i dobra kultury. Źle się stało, że akty bezmyślności, niegospodarności i wandalizmu w stosunku do zabytków pozostały bezkarne. To nie konserwator wojewódzki i przepisy ustawy o ochronie zabytków, ale organa ścigania są właściwe, jak we wszelkich innych przypadkach niszczenia mienia społecznego, źle się stało, gdyż niszczenie dóbr kultury jest objawem niemniej szkodliwym społecznie niż dewastowanie współczesnych urządzeń komunalnych i brak poszanowania dla mienia społecznego".

Nic tu dodać, nic ująć.

A cóż proponuje ów katalog zabytków, którym należy pośpieszyć z pomocą? Przytoczę kilka propozycji:

— Turnawy na Żuławach, XVIII-ny dom z podcieniami, zdewastowany przez GRN.

— pałac eklektyczny z XIX wieku w Rysiewicach na Opolszczyźnie, zamieniony przez PGR na magazyn.

— Sulejów, opactwo cysterskie (klasa europejska) — początki z XII wieku — stan fatalny.

— średniowieczny zamek w Pieszycach pod Dzierżoniowem, 66 pomieszczeń i jeden lokator (!?),

— pałac w Sieniawie, dwór staropolski w Czyżowie Szlacheckim (wymieniany w podręcznikach architektury), gimnazjum piastowskie w Brzegu, Kurozwęki i jeszcze czterysta innych obiektów. Przy każdym dopisek: „zdewastowany, zniszczenia ogólne, zaniedbany, zrujnowany".

To zaledwie jeden — dwa procent wszystkich naszych zabytków. A kto się powinien tym wszystkim zainteresować? Komu dedykowana jest wystawa? Zacytuje jeszcze raz J. P. Pruszyńskiego z „Kultury": „Powinni się nimi zainteresować przedstawiciele resortów gospodarczych, zakładów przemysłowych, instytucje i placówki naukowe. Wydatki łożone w adaptację zabytków zwrócą się, gdy przekształcone na cele kulturalno-oświatowe, wypoczynkowe, turystyczne, domy pracy twórczej, miejsca konferencji i zawierania poważnych transakcji handlu zagranicznego służyć będą ich mecenasom, tak jak to można powiedzieć w przypadku zamku w Baranowie".

Naturalnie, są przykłady gospodarności i troski. Zamek w Otmuchowie, dawna siedziba biskupów wrocławskich, albo renesansowy dwór w Gierałcicach są przez FWP i spółdzielnię produkcyjną wzorowo konserwowane i restaurowane. PGR-Darskowo remontuje we własnym zakresie pałac zabytkowy klasy I. MON wzorowo opiekuje się pałacem w Helenowie. Stacja Hodowli Roślin w Henrykowie podjęła się opieki nad zabytkowym zespołem klasztornym... Ale nie oszukujmy się — kilka jaskółek to jeszcze nie pełna wiosna.

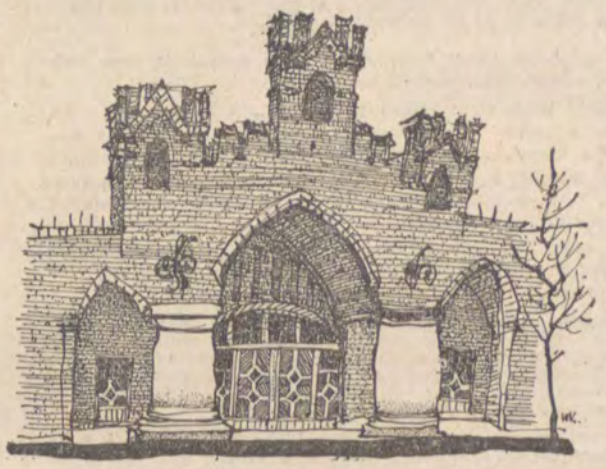

„Beczki Grohmana" — Rys. W. Kondek.

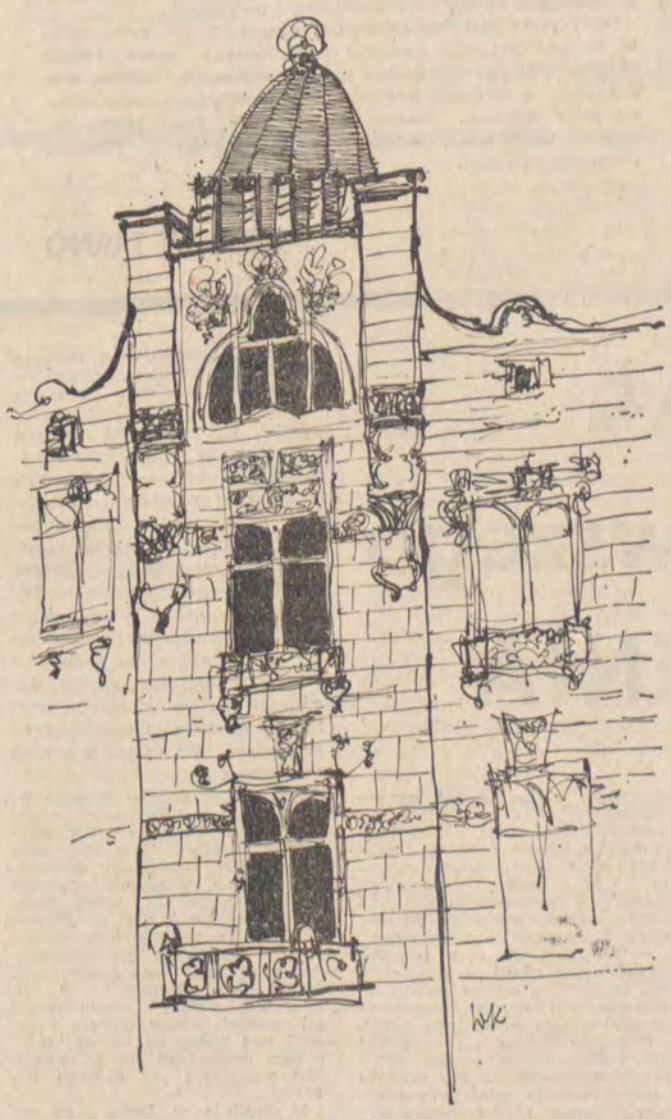

Dom secesyjny — Piotrkowska 43 — Rys. W. Kondek

Niedawno byłem w Zamościu, w „Perle Miast Odrodzenia" inaczej. Stare Miasto przedstawia ponury widok. Na Wielkim Rynku Ratusz zbudowany wg proj. B. Morando w latach 1591—1622, przebudowany potem przez J. Jaroszewicza w 1639—1651, z dwuramiennymi barokowymi schodami, dobudowanymi w 1770 r. jest jedyną całą i odrestaurowaną budowlą. Reszta kamieniczek Starego Miasta pokryta rusztowaniami, zasłonięta płotami, albo niszczejąca i zdewastowana. Pozornie trwa tu remont. Pozornie. Bo w gruncie rzeczy nic się tu nie dzieje. A zwiedzam Zamość przecież w 1973 roku, w pełni turystycznego sezonu!? Perła Miast Odrodzenia zabita jest na amen deskami... Ile takich miast — pereł zabitych jest deskami?

A więc z troską rodacy i... madrze podchodźmy do spraw środowiska, do zabytków. Przytoczę tu przykład Ministerstwa Rolnictwa, które w piśmie okólnym 3/73 zabezpieczyło odpowiednie fundusze na remonty obiektów, których użytkownikami są przedsiębiorstwa resortu rolnictwa, a które to obiekty wymagają natychmiastowych remontów i konserwacji. Na marginesie przypomnę, że inne dwa pisma okólne Prezesa Rady Ministrów nr 83/71 i 57/72 „nakładają na użytkowników obowiązek zwiększonej dbałości o powierzone im obiekty, mające charakter zabytkowy i pozwalają wydatkować na cele ich remontów nadwyżki z budżetów terenowych". Są zatem możliwości prawne. Potrzebna jest inicjatywa. I troska.

I nie przypadkowo pomieszałem w tym artykule przemysł, zabytki, środowisko naturalne, turystykę. Jest to bowiem łańcuch zależności przyczyn i skutków. Oby efekty wzajemnych reakcji i relacji w tym łańcuchowym sprzężeniu były jak najpomyślniejsze.

ANDRZEJ GRUN

KSIĄŻKA

NIEZNANI bohaterowie

Adamczyk Wiktor — śmiertelnie raniony przez bandę, zmarł 11. V. 1945 r., Adamkiewicz Jan — zginął w walce z bandą 25. XI. 1945 r., Adamski Władysław — zginął 20. II. 1949 r. w czasie zabezpieczenia zajęć szkoleniowych hufca „Służba Polsce".

Długa jest lista poległych w walce ze zbrojnym podziemiem, 443 istnienia w czasie pokoju i odnowy. 443 bohaterów cichego frontu poległo na Ziemi Łódzkiej. 7 członków PPS, 18-u — SL, 182 — PPR i 125 bezpartyjnych, 93 żołnierzy, 79 szeregowych i podoficerów, 14 oficerów. Siedemdziesięciu miało nie więcej jak 20—25 lat życia, trzech z nich oddało swą młodość nie dożywszy lat dwudziestu. 13-u pochodziło z województwa łódzkiego, 80-u z innych regionów Polski.

Trudna to była walka. Bo podstępna, zza węgła. Strzelali ci, których zdeprawował faszyzm, których nienawiść podsycały fale eteru — hasłami walki przeciw Polsce Ludowej.

Anna Podsiadło miała nie całe czternaście lat. Poległa na dwanaście dni przed czternastą rocznicą swoich urodzin, tu w Łodzi, z rąk bojówki „Gaja"; Hieronima Podsiadło, urodzona w 1908 r., poległa z rąk tych samych zabójców, w tym samym dniu...

Poległo 216 pracowników Służby Bezpieczeństwa, Milicji i ORMO. Blisko 30% wszystkich, którzy zginęli na polu chwały, to młodzież do lat dwudziestu pięciu.

18 żołnierzy Armii Radzieckiej, która przyniosła nam wolność, poległo już w dniach pokoju.

Krótki zapis 443 biografii poległych „ZA OJCZYZNĘ I ZA LUD" przynosi wydana staraniem Wydziału Propagandy Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Łodzi edycja przygotowana przez Komitet Redakcyjny: Stefana Banasiaka, Edwarda Chobota, Stefana Fijałkowskiego i Alfreda Kusiaka. Najbardziej wstrząsającą jest napisana z iście żołnierską powściągliwością część „Polegli za władzę ludową na Ziemi Łódzkiej" zawierająca 443 zwięzłe biografie poległych — swoisty raport z pola walki w wolnej już Ojczyźnie.

Cennym uzupełnieniem tych biografii są „Sylwetki poległych" skreślone ręką przyjaciół (przez E. Chobota, S. Fijałkowskiego, J. Górala, Z. Pietrzaka, K. Przybył-Stalskiego, H. Szuberta), dziennikarzy (K. Badziaka, L. Włodkowskiego, J. Woldana) i pisarzy (E. Iwanickiego, R. Orlewskiego, T. Papiera i J. H. Wiśniewskiego).

Całość zaopatrzona jest w rys historyczny sytuacji politycznej w województwie łódzkim w latach 1945—1948 pióra Stefana Banasiaka. W rysie tym na szczególną uwagę zasługuje część materiału porządkująca naszą wiedzę o działalności partii i stronnictw politycznych w województwie łódzkim. Słabszą stroną, moim zdaniem, są uwagi wprowadzające w ogólną sytuację społeczną w województwie. Autor również posługuje się skrótami myślowymi zrozumiałymi tylko dla historyka tamtych dni lub ludzi starszego pokolenia.

Edycja w niewielkim nakładzie (2000 egz.) otrzymała staranne opracowanie graficzne Jacka Sierocińskiego i techniczne, które zawdzięcza Łódzkiej Drukarni Dziełowej i anonimowo występującemu Wydawnictwu Łódzkiemu, które kontynuuje niezrozumiałą tradycję pomijania nazwisk redaktorów literackich, technicznych i korektorów w przypadku większości wypuszczanych przez siebie w świat książek.

Mimo tych uwag pozycję uznać należy za cenną, dostarcza bowiem rzetelnej informacji o walce prostych ludzi o socjalistyczną treść Polski Ludowej na Ziemi Łódzkiej. A takich książek mamy rzeczywiście niezmiernie mało.

„Stoimy w przededniu nowych perspektyw, w przededniu pełniejszego spełniania marzeń. Warto uczynić wszystko, by pamięć o poległych bohaterach pomogła nam jeszcze lepiej żyć i pracować. Dzięki nim bowiem czas wojny przemienił się w czas pokoju, czas głodu w czas chleba, czas niepokoju o życie najbliższych w niepokój trudnej i mądrej pracy na rzecz urzeczywistniania ideałów nakreślonych w programie naszej Partii" — tymi słowami ze wstępu Alfreda Kusiaka zakończyłbym refleksję nad biografią 443 bohaterów cichego frontu, nad książką, którą szczególnie polecałbym młodemu czytelnikowi poszukującemu prawdy tamtych dni, młodym pisarzom i dziennikarzom i wszystkim tym, którym sprawa naszego jutra nie jest obojętną.

TADEUSZ DASZKIEWICZ

TELEWIZJA

PUBLICYSTYKA

Coś się zaczyna dziać w naszej publicystyce telewizyjnej. Sprawdziła się nowa koncepcja „Panoramy" prowadzonej przez S. Kozickiego i J. Rolickiego. Mamy „Forum" i „Echo-Forum", program wzbudzający szczególne zainteresowanie, choćby przez udział w nim znanych postaci z życia politycznego i gospodarczego. Nie trzeba nawet wspominać o „Kontaktach", które odważnie, ale w sposób odpowiedzialny wkraczają na obszary tzw. trudnych spraw. Pochwalić by jeszcze wypadało dziennik TV za nową formę i wydłużenie czasu emisji.

To wszystko (i jeszcze kilka innych pozycji — o jednej z nich za chwilę) skojarzyło mi się po wysłuchaniu felietonu Władysława Loranca w pierwszą niedzielę września. O „Kryteriach" ludzie różnie mówią. Jak to zwykle bywa, chwalą i ganią. Inni, że nie oglądają (nie słuchają). Ale na tych ostatnich nie ma rady, oni wszystko wiedzą lepiej, wszystko mają w małym palcu itd.

Osobiście zachęcałbym telewidzów do zawarcia bliższej znajomości z „Kryteriami". Nie tylko z tego względu, że co dwa tygodnie można zapoznać się z oficjalnym stanowiskiem kierownictwa TV w wielu zasadniczych sprawach, co nie jest rzeczą bez znaczenia. Ale również (lub jak kto chce, przede wszystkim) ze względu na indywidualność rozmówcy. Wł. Loranc mówi o rzeczach w a ż n y c h w sposób jasny, prosty, starannie przemyślany i powiedziałbym ...dyskretny. Nie wmawia, lecz spokojnie i cierpliwie przekonuje o racjach, które niestety nie są jeszcze często powszechnie akceptowane.

Podjęcie się takiego zadania świadczy, że wiceprezes Komitetu d.s. Radia i Telewizji nie wyszukuje sobie zajęć łatwych. I do takich zaliczyłbym np. odpowiedzi na listy telewidzów. Bo przecież trudno chyba powstrzymać irytację, kiedy otrzymuje się dziesiątki listów od ludzi, którzy chcieliby z telewizji zrobić wesołe miasteczko działające non-stop. Ale prezes się powstrzymuje i cierpliwie tłumaczy, wyjaśnia. A jak trzeba przyznać rację, przyznaje. I dlatego ten publiczny dyskurs wydaje mi się sprawą tak ważną dla wszystkich, którzy od TV oczekują czegoś więcej niż rozrywki.

* * *

Wracając do publicystyki telewizyjnej chciałbym zarekomendować nowy program „Bez togi". Sam sposób prezentacji podejmowanych w nim tematów nie jest nowy: relacja zdarzenia, opinie środowiska, sąd ekspertów. (Dla sprawiedliwości dodam, że w ostatnim programie o „działaczu" sportowym Rusinie była nawet inscenizacja zdarzeń — wypadek dość wyjątkowy w praktyce TV).

Otóż właśnie, Ryszard Bojko przedstawił nam temat aktualnie bardzo poruszający opinię publiczną: sytuację w polskim sporcie. I to nie tylko jeszcze jedna afera, ale temat — pretekst do szerszych refleksji. Jaki powinien być działacz sportowy?

Program mógł u wielu ludzi wywołać zdumienie. I to różnego rodzaju. Z jednej strony dowiadujemy się, że działaczem, wychowawcą młodzieży jest były kryminalista, który po niesprawiedliwej decyzji sędziego wbiega na boisko i uderza go w twarz. Z drugiej zaś stajemy się świadkami dziwnej reakcji miejscowego społeczeństwa, które w tym fakcie nie widzi nic tak znów gorszącego. Ludzie boleją raczej nad faktem, że Rusina dożywotnio PZPN zdyskwalifikował, co sparaliżuje na pewno życie sportowe w N. Tak, mogą takie oświadczenia wywoływać zdumienie, że w dużej osadzie jest tylko j e d e n człowiek, który może coś zdziałać. I to właśnie, jak na ironię losu, taki animator środowiska.

Byłbym bardzo wdzięczny, gdyby powiedzmy za rok TV zajrzała ponownie do tej osady. Może jednak nie będzie tak źle? Może jednak znajdą się tam ludzie, którzy nie czekając na nowego Rusina, wezmą się do roboty? Myślę, że taką konfrontacja byłaby rzeczą ciekawą i pożyteczną.

POLECAMY DO OBEJRZENIA: (piątek, 7. IX. godz. 21,35). W Teatrze Telewizji spektakl przygotowany przez Łódzki Ośrodek Telewizyjny. Będzie to „Sąd ostateczny" Odöna von Horvatha, w reżyserii Tadeusza Minca. Wystąpią znani aktorzy scen łódzkich. Marek Bargiełowski, Ewa Mirowska, Andrzej Głoskowski, Tadeusz Schmidt, Wojciech Pilarski, Józef Zbiróg i inni.

JAROSŁAW TARNO

PLASTYKA

Kopernik-kosmos

W gotycko-renesansowych murach toruńskiego ratusza w związku z 500-ną rocznicą urodzin Mikołaja Kopernika otwarta została niedawno wystawa malarstwa pod hasłem „Kopernik — Kosmos". Ekspozycja powyższa zorganizowana została staraniem Związku Polskich Artystów Plastyków, Ministerstwa Kultury i Sztuki i Muzeum Okręgowego w Toruniu. Poprzedziły ją eliminacje w poszczególnych oddziałach Związku Plastyków. Do Torunia nadesłano 340 prac, z czego jury zakwalifikowało na wystawę 135 obrazów 112 autorów. Wśród malarzy, których płótna znalazły się na wystawie, spotykamy nazwiska łódzkich plastyków. Są to m. in. Barbara Szajdzińska-Krawczyk, Wiesław Garboliński, Józef Skrobiński.

Na wystawie sąsiadują ze sobą zarówno prace figuratywne jak i inne, reprezentujące szeroki wachlarz aktualnych środków obrazowania — regulamin wystawy w tym względzie dopuszczał zupełną swobodę formy. Jeśli idzie o tematykę, to można z grubsza wyodrębnić trzy zasadnicze grupy obrazów:

— płótna nawiązujące w sposób alegoryczny lub symboliczny do heliocentrycznego systemu kopernikowskiego (obrazy A. Güntner, A. Benermanna, A. Nowickiego)

— obrazy przedstawiające Kopernika jako prekursora zdobywców Kosmosu (kompozycja B. Szajdzińskiej-Krawczyk)

— wreszcie portrety, z których większość stanowią improwizacje na temat znanych powszechnie podobizn Astronoma — toruńskiego i gołuchowskiego.

Te ostatnie wydają się być najmniej interesujące z racji swej dosłowności i monotonii. Niewątpliwie wyjątkiem w tej grupie jest obraz Wiesława Garbolińskiego, skromny i intymny. Na uwagę zasługuje także płótno B. Szajdzińskiej-

JÓZEF SKROBIŃSKI — „We Fromborku" (olej).

Krawczyk: wnętrze pracowni Astronoma, okno, Księżyc, a na nim kosmonauta o twarzy Kopernika, lekka atmosfera surrealizmu. Budzić natomiast mogą zastrzeżenia niektóre kompozycje bezprzedmiotowe, a to z tego względu, iż często o związku z tematem decyduje li tylko podpis. Bez owych tytułów ich artystyczna argumentacja okazuje się właściwie żadna. Są one po prostu mniej lub bardziej zgrabnie „zmajstrowanymi" kompozycjami. Charakterystycznym przykładem takiego właśnie „szwarcowania" się po temacie są kompozycje Mariana Warzecha i Juliana Raczko — nic nie mówiące, za to nad wyraz estetyczne.

ANDRZEJ GRUN

§

KOCHAŁ od pierwszego WEJRZENIA

Życie w niewielkiej wsi na Pomorzu nie dostarczało mieszkańcom zbyt wielu atrakcji. Nic więc dziwnego, że znudzona sytuacją „nic się nie dzieje" i pewna swej urody nastoletnia mieszkanka takiej właśnie wioski postanowiła wysłać swoje zdjęcie tudzież adres do redakcji popularnego tygodnika, który właśnie tego rodzaju zaproszenia do korespondencji popularyzował. W kilka dni później zdjęcie wraz z adresem ukazało się, a za tydzień... W tydzień później napisał ON. Jest lekarzem stomatologii, ojciec jego jest dyrektorem szpitala w podłódzkiej miejscowości Z., gdzie poza dwupokojowym mieszkaniem dysponuje samochodem marki Warszawa. Zdjęcie Sabiny. G. Tak mu przypadło do gustu, że zakochał się bez pamięci i marzy tylko o poznaniu — osobiście — tak cudnej dziewczyny.

Korespondencja trwała 2 lata, aż nastąpił moment pierwszej wizyty. Jerzy W. — 29-letni mieszkaniec Z., ojciec dwojga dzieci w wieku 8 i 10 lat, z zawodu mechanik samochodowy czyli jednym słowem bohater naszej opowieści — 13 stycznia br. przybył do miejscowości W., gdzie zamieszkiwała 17-letnia Sabina. Nie da się ukryć, że rodzicom zaimponował młody pan doktor, który już w czasie pierwszej godziny pobytu zapewnił ich o swej wielkiej miłości i o natychmiastowej chęci ożenku z uczennicą I klasy Liceum Medycznego, aktualnie już prawie narzeczoną czyli ich córką G. Argumentację swoją poparł barwnymi opowiadaniami o stanowisku ojca — dyrektora szpitala w Z. i swoim — wziętego lekarza — stomatologa oraz 1,5 litrem wódki, którą na wstępie uraczył przyszłych teściów.

— **W tak dobre ręce możemy oddać naszą córkę** — stwierdzili oni zgodnie, a matka Sabiny — Wanda była wprost oczarowana elokwencją przyszłego zięcia.

Aby pan doktor n' rozmyślił się postanowiono pewne fakty tak zaaranżować, by zawarta umowa została właściwie przypieczętowana. Matka narzeczonej pościeliła obu młodym w jednej izbie i chyba dla spokoju własnego sumienia położyła tam także swego 8-letniego syna, wiedząc jednak, że charakteryzuje się najmocniejszym w rodzinie snem.

Jerzy W. przebywał na wsi kilka dni. W międzyczasie odwiedził dwukrotnie przychodnię lekarską w pobliskim powiatowym miasteczku, w którym Sabina chodziła do szkoły i podając się za kolegę — lekarza prosił dla narzeczonej o wystawienie zwolnienia. W obu przypadkach Sabina zwolnienie takie — oczywiście nie badana — otrzymywała. Jak później tłumaczyli się w śledztwie obaj lekarze chodziło tu o solidarność koleżeńską. Ale to tylko tak na marginesie...

Pod koniec pobytu Jerzego W. postanowiono dokonać wreszcie formalności złożenia dokumentów w urzędzie stanu cywilnego i kościele. Uprzednio dokonano zakupu obrączek (płaciła matka Wanda G.), która także pożyczyła mu 6 tys. zł. Twierdził on, że posiada jedynie dolary. Formalności nie załatwiono, a przyszły pan młody wyjechał zaraz tłumacząc, że za parę dni wróci. Kiedy długo nie wracał, ojciec Sabiny pojechał pod znany mu adres w Z., a tam dowiedział się że organa MO poszukują już Jerzego W., który...

30 grudnia w Łodzi na ul. Zgierskiej zobaczył idącą z pracy ekonomistkę Janinę T. Zakochał się w niej od razu, podszedł, spytał o godzinę i zaprosił do „Simu". Tam po zjedzeniu obiadu i wypiciu wódki zaproponował pójście do „Ogrodowej", gdzie również trochę posiedzieli i nieco wypili. Następnie powiedział, że ją kocha, chce się z nią ożenić i przedstawić swoim rodzicom. Pojechali więc do Z., w domu rodziców nie było, natomiast Jerzy W. usiłował rozpocząć przyszłe małżeństwo od jego konsumpcji. Ponieważ Janina nie była po temu skora, wyłudził od niej 1000 zł i odwiózł do domu. Tam Janina T. powiedziała wszystko rodzicom, którzy fakty te podali w MO. Tu wiedziano już, że...

Jerzy W. w 1972 r. zamieszkiwał przez dwa miesiące z Danutą I., która odbiła go swej przyjaciółce Petroneli D., z którą też mieszkał — wyłudził od Danuty I. sumę 14 tys. zł twierdząc, że ją poślubi i pieniądze są mu potrzebna na samochód, którym wspólnie będą jeździć. Kiedy Danuta zlikwidowała w tym celu swoją książeczkę mieszkaniową, a Jerzy W. forsę wziął... więcej go nie oglądała. Zamieszkał ponownie z Petronelą D., z którą podobno miał się ożenić.

Prowadzący śledztwo w tej sprawie dowiedział się także że latem 1969 r. Jerzy W. zakochał się w lekarce — stomatologu Marii W., z którą miał się żenić, a która ordynowała w jednym z uzdrowisk, w którym przebywał wówczas nasz bohater. Mieszkał z nią nawet trochę, ale okradł mieszkanie, którym miała się opiekować Maria W. w czasie urlopu jej przyjaciół. Za czyn ten został skazany na 1 rok więzienia, 1500 zł grzywny. Odbycie kary mu zawieszono.

Prowadzący śledztwo dowiedział się także, że już w listopadzie tego roku Jerzy W. zdążył skraść futro i 1000 zł swojej kolejnej narzeczonej, a z którą już mieszkał.

I tak to od kobiety do kobiety toczyły się losy mechanika samochodowego Jerzego W. współczesnego Casanovy, który teraz w areszcie oczekuje na kolejną rozprawę. Mimo, że jego postępowanie może się wydawać nieco dziwne, tak jak umiał zdobywał kobiety i pieniądze. Bardzo natomiast dziwna wydaje mi się naiwność jego ofiar, które jak muchy na lep brały się na opowiadania o miłości, stanowisku, M-3 i samochodzie. Wiedząc jednak, że spraw miłości nikomu się nie wyperswaduje, a bardzo przecież lubimy być kochani, boję się tu nawet apelować do pań o trochę ostrożności. I jak świat światem panowie pokroju Jerzego W. istnieli i istnieć będą.

MIECZYSŁAW STOLARSKI

FILM

HUBAL

Zadanie jakiego się podjął Bohdan Poręba było niezwykle trudne. Z wielu względów było to zadanie karkołomne, ale ktoś musiał zaryzykować. Pisząc: „musiał", mam na myśli ów szlachetny przymus wewnętrzny, który prędzej czy później, mocniej lub słabiej, odczuwa każdy autentyczny twórca.

Jest rzeczą godną szacunku i społecznego uznania, kiedy ambicje artysty nie tylko wychodzą naprzeciw społecznemu zapotrzebowaniu, ale w jakimś stopniu kształtują je, rzec można: dopisują się do nich, wypełniają miejsca puste lub słabo czytelne.

BOHDAN PORĘBA swoim filmem o HUBALU dał przykład tak rozumianej powinności artysty wobec współczesności. Powiem więcej: również wobec teraźniejszości naszego kina, które jest obecnie żywym trupem, przedstawił dowód, że nie wszystko jest jeszcze stracone, że odrzucając (n.b. pożyteczną skądinąd) reanimację, trzeba zacząć od nowa.

Nazwałbym więc film Poręby nie wzorem sztuki filmowej, lecz wzorem jakże potrzebnego m y ś l e n i a o jej społecznej funkcji. I myślę, że w wypadku filmów, które określa się zwykle jako dramaty wojenne, nie może być inaczej. W wypadku opowieści o bezprzykładnej walce majora Henryka Dobrzańskiego, postaci żywej w wyobraźni ogółu, a jeszcze bardziej kontrowersyjnej — ta świadomość szczególnie musiała określić postawę reżysera i wybór środków artystycznych. Z takimi konsekwencjami musi liczyć się każdy autor i musi ponosić ich koszty. W moim przekonaniu nie uwłacza mu to, lecz przynosi zaszczyt.

Mamy już za sobą na szczęście okres, (nie zawsze mądrych i uczciwych) dyskusji o „bohaterszczyźnie" Polaków. Nie odważyłbym się jednak postawić tezy, że to sprawy zwietrzałe, zmarłe naturalną śmiercią, nieważne.

Budując naszą rzeczywistość i przyszłość na podstawach racjonalizmu, jesteśmy społecznością uformowaną przez specyficznie polską kulturę i tradycję. Tradycję, którą tak musimy weryfikować, aby była twórczym natchnieniem ludzi skierowanych w przyszłość.

Film Bohdana Poręby nie jest głosem w tej dyskusji, czy jej podzwonnym. Jest po prostu aneksem, faktem, dokonaniem, które jak każdy kolejny dowód, było potrzebne. Tym bardziej w takim wymiarze, bo nie wątpię, że „Hubal" długo nie zniknie z ekranów, skupi wielomilionową widownię. Bo, pomijając wspomniane wyżej walory, film o ostatnim żołnierzu Września i pierwszym partyzancie II wojny, jest widowiskiem fascynującym nawet dla tych, którzy pójdą go po prostu obejrzeć, którzy potraktują go dosłownie. Nie zawiodą się chociażby dlatego, że tytułową rolę odtwarza (?) kreuje (?) (właściwe podkreślić) Ryszard Filipski. Pozornie zdawałoby się ostatni kandydat do tej roli, wywiązał się ze swego zadania pierwszorzędnie. Powiedziałbym nawet znakomicie, gdyby to nie był termin tak oklepany. W każdym razie jest to chyba życiowa rola Filipskiego. Z niezwykłą intuicją i kulturą aktorską, mądrze i poważnie stworzył postać, o której przecież każdy z nas (i każdy inaczej) miał własne wyobrażenie. Tak, miał, bo nie sposób sobie teraz inaczej wyobrazić Hubala. Jeszcze raz przekonać się możemy, że nie ma filmu, teatru, bez aktora, chociaż dla wielu reżyserów nie jest to takie oczywiste...

Ktoś już zdążył nazwać film Poręby lekcją patriotyzmu. Nie ma w tym stwierdzeniu przesady, ale trzeba dodać, że jest to lekcja trudna, tak jak nigdy polski patriotyzm nie był sprawą łatwą.

(I jeszcze dwa słowa, nie o filmie, lecz na marginesie premiery, która odbyła się w kinie „Bałtyk" w dn. 31 sierpnia. Piszę to bez satysfakcji, ale...

Na premierze było 5-ciu „hubalczyków". Nie poproszono ich na scenę, nie przedstawiono, nie ofiarowano po kwiatku. To, po pierwsze. Po drugie: aktorzy zwyczajowo mówią kilka słów do publiczności. Tym razem tak się złożyło, że niektórzy mówili niedorzeczności. Np. S. Niwiński użalał się nad trudami pracy przy kręceniu filmu, oświadczając w konsekrzymówili niedorzeczności. Np. S. Niwiński użalał się nad wencji, że gdyby nie pamięć o żołnierzach Września, nie wyskiego wysiłku, nie mogło nie wywołać uczucia niesmaku i zażenowania).

JERZY WAWRZAK

KSIĄŻKA

SPOD LADY

Państwowe Wydawnictwo Naukowe opublikowało od dawna oczekiwany „Słownik biograficzny teatru polskiego", opracowany przez Instytut Sztuki Polskiej Akademii Nauk, pod naczelną redakcją prof. Zbigniewa Raszewskiego. Jest to pierwszy na naszym gruncie w miarę kompletny słownik ludzi teatru, obejmujący 200 lat sceny polskiej, od chwili otwarcia Teatru Narodowego w dniu 19.XI.1765 r. do końca roku 1965. Dzieje te prześledzić można w 6298 biogramach aktorów, solistów opery i operetki, solistów i korylejów baletu, reżyserów, scenografów, dyrygentów, kierowników literackich i dyrektorów teatru. Jako ciekawostkę przytoczyć warto, że obszerne hasło, poświęcono również Władysławowi Reymontowi, ale po to, aby wykazać, jak... miernym był aktorem. Słownik wydany został w bardzo efektownej szacie (ponad 1000 ilustracji w tekście, w tym 67 wielobarwnych!), ale z dość znacznym jak na tego typu publikacje nakładem 12.000 egz. kłóci się nadmiernie chyba wysoka cena (320 zł!).

Pisałem już na tym miejscu w ciepłych słowach o „Bibliotece Literatury XXX-lecia", ale warto raz jeszcze zwrócić uwagę na tę serię, która w międzyczasie pięknie nam się rozmnożyła i w tegorocznym konkursie Polskiego Towarzystwa Wydawców Książek na najpiękniej wydaną publikację w roku 1972 otrzymała nagrodę za szczególnie przemyślaną koncepcję graficzną. Warto polecić dwa cenne wznowienia, podejmujące niełatwą problematykę pierwszych lat powojennych, tworzenia się nowej władzy, odbudowy kraju, rozrachunku z doświadczeniami wojny... Są nimi „Czterdziesty czwarty" Zbigniewa Załuskiego („Czytelnik") i „Był rok 1945..." Edmunda Osmańczyka (PIW).

Państwowy Instytut Wydawniczy obdarował nas dwoma pięknymi bibelotami z zakresu epistolografii i to epistolografii miłosnej. W zgrabnym formacie albumikowym ukazały się mianowicie „Listy miłosne Kazimierza Junoszy-Stępowskiego", jednego z najwybitniejszych polskich artystów teatru i filmu, tragicznie zmarłego w czasie okupacji. 50 znalezionych ostatnio listów, pisanych w latach 1921—1939, rzuca wiele nowego światła na osobowość artysty i człowieka. Natomiast również świeżo odnalezione „Listy do starościny Wyszogrodzkiej" Józefa Szymanowskiego pochodzą z lat 1792—1801 i są jak gdyby naturalnym dopełnieniem znanych listów Krasickiego, Naruszewicza czy Karpińskiego i wzbogacają polską epistolografię osiemnastowieczną opisami uczuć i nastrojów, których nie było w tamtych zespołach korespondencyjnych.

Jeśli już mowa o kobiecie, to warto zasygnalizować, że w popularnej i nieraz już na tym miejscu odnotowywanej serii PIW „Ludzie żywi", ukazała się książka Ewy K. Kossak „Dagny Przybyszewska — zbłąkana gwiazda". Jest to oparta na materiałach opublikowanych oraz na źródłach rękopiśmiennych polskich i obcych biografia pierwszej żony Stanisława Przybyszewskiego, Norweżki, Dagny Juel. Owiana nimbem tajemniczości i niezwykłego uroku, stała się natchnieniem również dla innych wybitnych twórców tej epoki (E. Munch, A. Strindberg, T. Boy-Żeleński), którzy zafascynowani jej osobowością wiele o niej i dla niej pisali, a także wielokrotnie ją portretowali.

Wydawcy nie rozpieszczali nas dotąd, jeśli idzie o liczbę dzieł z literatury indyjskiej. Może jedynie Rabindranath Tagore jest pisarzem nieco powszechniej u nas znanym. Dlatego niewątpliwym wydarzeniem czytelniczym i edytorskim jest pierwszy wybór nowel, skupiający utwory pisane w większości głównych języków Indii, a również w języku angielskim. W antologii tej, wydanej przez PIW w wyborze i ze wstępem K. Natwar-Singha, reprezentowani są niemal wszyscy wybitni pisarze ostatnich stu lat, nowele zaś osadzone są w przeróżnych środowiskach. Jak zaś pisze autor wstępu, nowela, jak żaden inny gatunek literacki, oddaje klimat rzeczywistości indyjskiej.

Albumy Włodzimierza Puchalskiego, którego kamera od wielu już lat rejestruje najsubtelniejsze przejawy życia flory i fauny, posiadają wyrobioną markę na rynku czytelniczym. Miłośników jego sztuki fotograficznej warto poinformować, że Wydawnictwo „Sport i Turystyka" wznowiło w 20 tys. egz. piękny album, prezentujący portrety „Zwierząt z dalekich stron". Zostały w nim zgromadzone okazy, które przywykliśmy nazywać „egzotycznymi", obejmujące kontynenty pozaeuropejskie.

JAN OKOPIEŃ

POCZTA LITERACKA

Ewa z Tomaszowa. Wiersze są bardzo „pensjonarskie" i to w porządku, skoro ma Pani 18 lat. Ale też są one bardzo nieporadne, nie panuje Pani nad słowem; żaden wiersz nie zniesie takiego stwierdzenia: **„widzę, że człowiek sam w sobie jest pusty"**, albo: **„zamyślona wstrętem następnego dnia"**. Jeśli poeta się buntuje i ma pretensje do świata — to dobrze. Ale powinien do swego buntu przekonać czytelnika. Pani wiersze, niestety, nie przekonują. Świadczą o dużej wrażliwości — to prawda, lecz

Stanisław Ż. z Lublina. Boy-Żeleński w swoim znanym szkicu „Styl kwiecisty" proponował autorom niecodziennych metafor, aby spróbowali .... narysować wymyślone przez siebie metafory. Był to oczywiście żart, ale i wiele w nim racjonalnego sensu. Niech Pan spróbuje narysować metafory ze swoich wierszy — „żagwie mięśni" — „wypatruj sercem" i tym podobne.

Budowanie metafor polega na takim łączeniu wyrazów, aby przynajmniej jeden z nich zyskiwał nowy sens. Potoczny zwrot „stalowe mięśnie" jest właśnie zbudowany według tych zasad. U Pana, niestety, ten postulat nie zawsze bywa spełniony.

POWIĘKSZENIA

FILM O ŁODZI

Śledząc ankietę prasową nt. „Jaki ma być film o Łodzi" ogarnia nas obawa, że filmu o Łodzi w ogóle nie będzie. I nie może być, jeśli się zechce zrealizować wszystkie postulaty czytelników. Po prostu nie będzie mocnych.

Film o Łodzi powinien być: a) wybitny, b) ciekawy, c) wieloseryjny, d) zawierać życiorysy tkaczy, e) pokazywać wszystkie wojny i rewolucje, f) pokazać głód i epidemie, g) osiągnięcia lat ostatnich, h) scenariusz powinien napisać łodzianin, i) grać powinni „przedstawiciele łódzkich rodzin"... I tak dalej, i tak dalej.

Myślę, że alfabetu nie starczy na te postulaty. Okazuje się, że od czasów Stanczyka, który udowodnił, że najwięcej mamy w Polsce lekarzy — sytuacja zmieniła się zasadniczo. Na korzyść filmowców

SPORTOWA ESEISTYKA

Pan Maciej Demel wydał książeczkę zatytułowaną wdzięcznie i do rymu: „Szkice krytyczne o kulturze fizycznej".

Myliłby się jednak ten, który by sądził, że rzecz o sporcie. Otóż nie! I tu nas pan Demel zaskoczył. Spora, bowiem część swojej siedemdziesięciostronicowej książeczki poświęca rozważaniom na temat.. krytyki. Pisze o metodach krytycznych, przywołuje nazwiska: Rousseau, Pascala, Kafki; sięga do starożytnych Greków, odkrywa takie prawdy, że krytyka winna być pryncypialna... Słowem hasła intelektualnie.

A, że to nie ma nic wspólnego z tematem? Och, to przecież drobiazg! Ważne, że tak to wszystko mądrze napisane.

POEZJA REKLAMOWA

„Kto o zdrowie dba
Ten na Fundusz da".

— takie zgrabne dwuwiersze spotyka się ostatnio na łamach łódzkiej prasy. „Powiększenia" dysponują bogatym zestawem podobnie inteligentnych tekstów i mogą je odstąpić gratis. Na przykład:

„Gdy cię w kościach łamie cosik
daj na Fundusz chociaż grosik"

albo:

„Na Fundusz nie skąp
gdy cię boli ząb"

I tak dalej i tak dalej... Grafomania nie jest sztuką trudną.

KLUSOWNICTWO GAZETOWE

Jedna z łódzkich gazet donosi o Krajowych Mistrzostwach w Strzelaniu Myśliwskim: „Warto dodać, że w roku ubiegłym podczas zawodów w Poznaniu mistrzowie okręgu łódzkiego zajęli wysokie, czwarte miejsce. Łódzcy zawodnicy wyjeżdżają do Katowic w dniu dzisiejszym. Życzymy im połamania strzelb". Koniec cytatu.

Autorowi tego szalenie pomysłowego zwrotu życzymy połamania pióra.

Pożegnanie „MOTYLA"

Ostatnio zmarł operowany na raka gardła, 66-letni Henri Charrière zwany Motylem, autor słynnej książki-bestsellera pt. „Papillon" (Motyl). W roku 1970 „Le Figaro Litteraire" nazwało powieść chlubą literackiego sezonu, z uznaniem wyrażało się o niej kilka pism literackich, a tygodnik „Les lettres françaises" i określał wspaniały talent narratorski autora, wartkość i potoczystość stylu w połączeniu z naturalną prostotą i dużą ekspresją.

„Papillon" osiągnął niebywałą wprost wysokość nakładów. W całym świecie rozprzedano 10 mln egzemplarzy „Motyla" z czego 1.200.000 we Francji, 5 mln 300 tys. w Stanach Zjednoczonych, 1.100.000 w Niemczech Zachodnich, pół miliona w Anglii. Ocenia się, że liczba czytelników „Motyla" wyniosła 12 milionów, choć autor twierdził, że jego książkę przeczytało aż 50 milionów ludzi.

Syn nauczyciela z Departamentu Ardèche, Henri Charrière „Motyl" zdobył pieniądze i sławę opisem swych niezwykłych losów i przygód gdy jako więzień kryminalny został skazany na dożywocie i wysłany do byłej karn j kolonii we francuskiej Gujanie. Mając lat osiemnaście Charrière zaciąga się jako ochotnik do marynarki wojennej. Był to rok 1[illegible]. Wkrótce jednak nieprzyzwyczajony do dyscypliny wojskowej, naraża się swym dowódcom i zostaje przekazany do karnego regimentu. W tamtych to marynarskich czasach każe sobie zrobić na piersiach barwny tatuaż, którego uwieńczeniem jest umieszczony pod szyją wizerunek motyla. Odtąd też zostaje przezwany Motylem. Charrière nie wytrzymuje długo w służbie na morzu. Chcąc się zwolnić odcina sobie kciuk prawej ręki. Zostaje wydalony z marynarki i otrzymuje nawet inwalidzką rentę. Zanurza się teraz w wir mętnych interesów paryskiego półświatka. Najchętniej trudni się sutenerstwem. Żeni się z dziewczyną o imieniu Nénette (rozwiedzie się z nią już po wydaniu książki) i ciągnie korzyści z jej niezbyt chwalebnych i niezbyt etycznych postępków. Nénette okaże następnie bezgraniczne poświęcenie dla męża, próbując przejąć na siebie winę za zamordowanie jednego z sutenerów. Zbrodnia ta przypisywana jest właśnie Motylowi. Czy Henri Charrière istotnie zabił człowieka? Nigdy się do tego nie przyznał. Sąd jednak na podstawie nie dość klarownych zeszłą poszlak, skazuje Motyla w roku 1931 na dożywotnie więzienie. Charrière zostaje wywieziony na ciężkie roboty do francuskiej Gujany, gdzie w miejscowości Bagno pędzi życie katorżnika. Według jego opisów w książce liczącej 500 stron, Motyl kilkakrotnie ucieka i kilkakrotnie jest schwytany. Przez 7520 godzin przebywa m. in. w małej, wąskiej klatce, w której każdy więzień z reguły umierał z wyczerpania i głodu lub w najlepszym przypadku wychodził z niej jako wariat. Charrière przetrzymuje jednak tę straszną karę i przy najbliższej o[illegible]zji znów ucieka. Niejednokrotnie jego ucieczki są tak fantastycznie pomysłowe, że budzą wątpliwość czy Motyl po prostu je nie zmyślił. Tak np. Charrière twierdzi, że kiedyś popłynął morzem na worku z łupinami orzechów kokosowych. Dzięki niezwykłemu szczęściu dobił do lądu i zamieszkał wśród Indian. Zdobywa sobie ich przyjaźń oraz miłość dwóch tamtejszych dziewcząt o pięknie brzmiących imionach: Lali i Korail. Ma nawet z nimi dzieci. Później rozmaicie sobie radzi w licznych wędrówkach. Jest sprzedawcą jarzyn, strażakiem w kopalni, znachorem, poszukiwaczem złota, prowadzi przedsiębiorstwo eksploatacji nafty, organizuje połowy krewetek, wyrywa zęby na jarmarkach, wreszcie zostaje hotelarzem i dorabia się skromnego majątku, ale trzęsienie ziemi niszczy cały jego dobytek. Osiadłszy na koniec w Caracas w Wenezueli pędzi spokojny żywot, gdy do ręki wpada mu książka Albertyny Sarrazin, byłej więźniarki. Wtedy Charrière postanawia napisać swoje własne wspomnienia.

Jego książka wzbudziła wielkie zainteresowanie, ale obudziła też wątpliwości czy opis przeżyć jest autentyczny. Jeden z francuskich dziennikarzy wędruje trasą podróży Motyla, sprawdza skrupulatnie fakty i stwierdza nieścisłości. Oto Motyl nie mógł tam a tam widzieć Krzyża Południa, gdyż pod opisywaną szerokością geograficzną nie można go zobaczyć. Ucieczka morzem na worku z łupinami orzechów kokosowych jest zwykłą bujdą. Nigdy, żaden więzień nie uciekał z Gujany w ten sposób, a gdyby jakiś człowiek ważył się na to, fale morskie pochłonęłyby go z pewnością, a rekiny dawno zjadły. Czy Motyl przebywał u Indian? Prawdopodobnie był u nich, ale najwyżej miesiąc. Jeśliby nawet miał flirty z indiańskimi dziewczętami, to przez tak krótki czas pobytu nie mógłby ujrzeć własnych dzieci z nich zrodzonych. Więc bujda. Ile tych bujd? Jakiś więzień, kolega Motyla, twierdzi, że Motyl opisał nie swoje, lecz głównie jego przygody. Ile więc nafantazjował Charrière? Ludzie biorą mistyfikację za prawdę, fantazję za rzeczywistość. Motyl tłumaczy się, że nie pisał bynajmniej policyjnego raportu, lecz powieść. Oddał atmosferę kaźni — francuskiej Gujanie, autentyczną atmosferę, a to chyba najważniejsze. Dlatego jego książka jest bardziej prawdziwa niż sama prawda. Powieść z natury rzeczy jest przecież uogólnieniem. Przyciskany przez dziennikarzy stwierdza na jednej z konferencji prasowych, że 75 procent faktów to prawda. Ale jego wypowiedź, jak twierdzi, zostaje przekręcona. Tylko 25 procent prawdy jest we wspomnieniach Motyla, reszta to bujda, głoszą niektóre dzienniki. Czy to jest ważne? — oburza się Motyl. Czy inni pisarze w swych powieściach opisywali jedynie zdarzenia prawdziwe? Czy nie opisywali niektórzy z nich swoich przygód w krajach, w których nigdy nie byli?

Zachęcony powodzeniem książki nakręca film na podstawie swoich przeżyć. Główną rolę w tym filmie gra on sam. Ale film nie zdobywa uznania ani widzów ani krytyki. Nie ma już w jego filmie tej ekspresji, pasji, rozmachu, jakie cechowały książkę. Charrière pisze dalszy ciąg „Motyla" — nową powieść pt. „Banco". Książka rozchodzi się we Francji w ilości 200 tys. egzemplarzy, ostatnio wysunęła się na pierwsze miejsce na liście bestsellerów w NRF, ale jej popularność daleka jest od tej jaką cieszył się „Papillon".

Charrière zdobył majątek. Miał luksusową willę, w której mieszkał wraz ze swą żoną Ritą (po uzyskaniu rozwodu z Nénette, która przebywa w domu starców), jeździł jednym z najdroższych samochodów, Jaguarem, ale jego sława pisarska rozwiewała się wraz z rozwiewaniem się jego legendy.

„Choć nie wszystko było prawda to o czym pisał, zabawiał nas jednak" — stwierdza nie bez żalu recenzent tygodnika „Paris Match", poświęcając zmarłemu Motylowi wspomnienie o nim samym i jego książce w artykule zatytułowanym: „Żegnaj Motylu!".

JANUSZ SKOSZKIEWICZ

ZdarzeniA • I • ZwierzeniA

MUZEUM KARYKATURY

Odbywająca się właśnie w Łodzi wystawa „Satyra w walce o pokój" nasunęła mi pewną myśl. Oto ona – warto założyć w Łodzi gabinet współczesnej karykatury...

Piszę wprost „założyć", a nie „pomyśleć o zorganizowaniu", bowiem, jak uczy praktyka – „myśleć o zorganizowaniu" można dwadzieścia parę lat, bez żadnego realnego efektu.

Właściwie mógłbym już poprzestać na rzuceniu tego pomysłu w myśl zasady „ja rzucam pomysł, a wy go łapcie". Ponieważ jednak współczesność jest bardziej skomplikowana, trzeba rzecz całą motać w tak zwane uzasadnienia, choć w moim przekonaniu żadnych uzasadnień ten prosty projekt nie potrzebuje.

Do rzeczy jednak. Jak wiadomo Muzeum Sztuki nie tylko ma piękne tradycje nowatorskich poczynań, ale i dziś pod dyrekcją Ryszarda Stanisławskiego ima się przedsięwzięć tak nowatorskich, jak ekspozycje zabawek, sztuki kinetycznej (czy jak się to nazywa), organizuje hapeningi typu „Warsztat", konkursy na podpis (gdzie wspólnie z Andrzejem Grunem zdobyliśmy zaszczytne wyróżnienie książkowe, wręczone nam przez najpiękniejszą dziewczynę Europy Środkowej)...

Jak również wiadomo Muzeum Sztuki otrzyma za parę lat nowy budynek, piękny i przestronny, z możliwościami ekspozycyjnymi z prawdziwego zdarzenia. Pisaliśmy o tym dwa tygodnie temu, pisały zresztą także inne gazety, więc czytelnik wie w czym rzecz.

A zatem już dziś trzeba gromadzić zbiory do przyszłego gabinetu współczesnej karykatury. Rysunek tuszem na białym kartonie to nie obraz olejny, może po prostu leżeć w byle pudle czy teczce, miejsca zajmuje niewiele... Zaczątek przyszłego gabinetu karykatury mógłby się zmieścić w lewej szufladzie biurka dyrektora Stanisławskiego. Ważne więc, aby już dziś zbiory zaczął gromadzić. Zanim gmach Muzeum powstanie, będziemy mieli kolekcję jak się patrzy.

A teraz pytanie, skąd brać karykatury? Otóż myślę, że ani „Karuzela", ani inne pisma satyryczne nie odmówią pomocy. Wiadomo przecież, że większość publikowanych rysunków przepada gdzieś po publikacji – nic więc nie stoi na przeszkodzie, aby je przekazać do Muzeum. Znam kolekcjonera, który posiada imponujące zbiory z archiwum dawnych „Szpilek" (jeszcze z łódzkich czasów), pełne rysunków Kazimierza Grusa, Eryka Lipińskiego, Jerzego Zaruby... Zresztą redakcja „Karuzeli" sporo publikowanych rysunków przechowuje w swoich archiwach... Czegóż tam nie ma! Całe trzydziestolecie polskiej karykatury współczesnej!

Przed laty Muzeum Sztuki w Łodzi było prekursorem w gromadzeniu sztuki nowoczesnej. Było wówczas pierwszym czy drugim muzeum na świecie, które dostrzegło wielkość Arpa, Legera, Picassa... Do dziś w przewodniku po muzeach świata, wydanym przez British Museum – Muzeum Sztuki w Łodzi widnieje jako j e d y n a polska placówka muzealna.

Jakby to więc było pięknie, gdyby Muzeum Sztuki, doceniając społeczną rolę i zasięg gazetowej karykatury, rozpoczęło gromadzenie zbiorów do przyszłych ekspozycji. To nic, że już nie będzie w tej mierze pierwsze w Europie, bo w maleńkim Gabrowie w Bułgarii narodziło się niedawno muzeum karykatury. Nie chodzi przecież tak bardzo o pierwszeństwo, to nie sport... Chodzi o zgromadzenie zabytków tej ulotnej sztuki. Sztuki codziennej – wyzierającej ku nam ze szpalt gazet, a przecież tak bardzo istotnej, tak szeroko docierającej, tak ważnej...

WIDOK

ANDRZEJ GRUN FRYZURY

LEWYM OKIEM!

NIC NIE MÓWIĆ, ALE POWIEDZIEĆ

Styl urzędowych listów jest łatwo przyswajalny, prosty, operujący stereotypami. Można mieć wielkie trudności w posługiwaniu się mową i pismem, w formułowaniu własnych myśli, a być przy tym dobrym urzędnikiem, to znaczy takim, co produkuje trzydzieści pism dziennie. Znam takich wielu. Mówiąc – stęka i powtarza w kółko te same trzy słowa, pisząc list do żony gryzie długopis i już po „moja kochana" nie wie co dalej, ale jak siądzie przy biurku to mu strumieniem spod palców płynie: „w związku z...", „w przedmiotowym urgensie", „poleca się odwrotnie".

Ale oto przyszły nieoczekiwane trudności. Już nie wystarczy pisać tak żeby odbiorca zrozumiał to, co się pisze. Trzeba się postarać, żeby zrozumiał to, czego list wcale nie zawiera. Żeby się nie mógł nie domyślić. Żeby go można było za niedomyślność rugnąć i wyprosić sobie na przyszłość. – Wezwij pan ze sześciu księgowych z terenu, omówimy tę sprawę! – mówi dyrektor swojemu pracownikowi. – Jak wezwę, to będziemy płacić za koszty delegacji – mówi pracownik, który dosłownie interpretuje zarządzenia, zwłaszcza jeśli mają rangę Uchwały Rady Ministrów. Ale narada z księgowymi jest potrzebna, nie można bez nich decydować o czymś ważnym, i to ważnym nie akurat dla nich, tylko w ogóle. – Nie wie pan, jak to się robi? Powinien pan wiedzieć! Mają przyjechać i już, ale żadnego pisma z poleceniem przyjazdu nie podpiszę! I radzę ostrożnie z telefonami, to są księgowi, potwierdzą nam pisemnie rozmowę telefoniczną i co – będziemy płacić? Guzik. Dziękuję, wykonać.

Hej, cóż za misterne zadanie! Jakich subtelności w formułowaniu zdań, jakiego przewrotnego, cieniutkiego kunsztu wymaga od referenta, który siada i próbuje, próbuje i kreśli – żeby było polecenie, ale żeby polecenia nie było...

„Zawiadamia się, że w dniu takim a takim odbędzie się narada. Zdaniem naszym byłoby dobrze..." Ech, warunkowy styl w urzędowym piśmie? To dobre do antypowieści. „Naszym zdaniem"? A cóż to, teren ma mieć inne zdanie od naszego? Mamy relatywizować nasze odgórne zdanie, dopuszczać inne poglądy? Więc inaczej: „Wasze sprawy związane z przyjazdem do nas prosimy załatwiać w dniu takim a takim, aby wykorzystać obecność delegowanego księgowego i wziąć udział w naradzie..." Ale ich sprawy wymagają delegowania zaopatrzeniowca, nie księgowego, a cóż nam po zaopatrzeniowcu w naszej naradzie? Najlepiej tak:

„Nie wzywamy Waszego księgowego na dzień taki a taki, zgodnie z Uchwałą Rady Min. o pokrywaniu kosztów delegacji przez instytucję wzywająca. Naradę księgowych odbędziemy bez Waszego udziału. Dyrekcji Waszej służy jednak odwołanie od powyższych decyzji, przy czym dla nieprzedłużania sprawy po rozważeniu możliwych argumentów możliwego odwołania zgadzamy się na udział Waszego księgowego w naradzie, o ile koszty delegacji nie przekroczą przyznanego Wam osobowego funduszu płac".

Jednak się udało. Teraz wystarczy jeszcze zadzwonić do każdego z sześciu księgowych w sześciu krańcach kraju i uciąć z nimi koleżeńską rozmowę: cześć, panie kolego! Co słychać? Jak zdrowie? Jaką mam sprawę? Właściwie to nawet nie jest sprawa, tylko wiecie, wyszło tam do Was takie pismo, zaraz... (tu odczytać tekst spreparowany jak wyżej) ...Jak Was znam, to pewnie chcielibyście jednak wziąć udział w tej naradzie. To przecież w Waszym interesie. Nie jesteście pewni? A nasza dyrekcja jest przekonana, że to w Waszym interesie i że na pewno to docenicie. No, właśnie. Więc zakręćcie się tam koło tej delegacji i czekamy"!

Ostatnie słowo jest najistotniejsze. Zaraz po nim należy odłożyć słuchawkę i zostawić rozmówcę sam na sam z myślami. Już teraz wie, co ma myśleć. Narada się odbędzie. Wymagania rosną, ale urzędnik jeszcze tym razem zdał egzamin.

Ponieważ wzywanie pracowników stanowi jednak mimo wszystko, jak widać na przykładzie, poważną trudność stylistyczną, takich wezwanych delegatów jest w ostatnich miesiącach znacznie mniej czyli Uchwała o delegacjach służbowych odniosła swój skutek. Skutkiem ubocznym będzie – jak przypuszczam – podniesienie kwalifikacji dyplomatycznych i lingwistycznych urzędników instytucji, sprawujących jakąś formę nadzoru. To też coś warte. Fakt, że każdy przepis pobudza natychmiast inicjatywę w kierunku jego omijania, jest znany w całym świecie, a w naszym kraju stanowi przecież potężną tradycję. Czasem to jest groźne, czasem śmieszy. Tym razem lepiej się chyba uśmiechnąć.

A na koniec malutka sprawka prywatna: podobał mi się apel „Głosu Robotniczego" o stworzenie filmu o Łodzi. Wtrąciłem się do tego tematu w felietonie z dnia 22 lipca. Bardzo mi przyjemnie, że „Głos Robotniczy" z dnia 23.VIII cytuje długie fragmenty z tego felietonu, podając jako źródło – „Odgłosy". Nie wspomniano tam co prawda, że to fragmenty z felietonu Ćwieka, ale przyzwyczaiłem się już do tego, że przez 9 lat nieprzerwanego ukazywania się tych felietonów w „Odgłosach" prasa łódzka jeszcze nie zauważyła ani tej stałej rubryki, ani tym bardziej jej autora. Łudzę się, że zauważyli ją Czytelnicy. Człowiek musi się czymś łudzić, choć czasem ręce opadają od martwej dookolnej ciszy.

ĆWIEK

PRZESZŁOŚĆ teraźniejszość

(3)

HISTORIA I REWOLUCJA NAUKOWO – TECHNICZNA

Mówiliśmy dotąd jak nowe środki, jakie daje nauce historycznej do dyspozycji dokonująca się w świecie rewolucja naukowo-techniczna, pozwalają jej na rozwiązywanie coraz nowych problemów, uzyskiwanie odpowiedzi na coraz to nowe, szersze pytania badawcze, otrzymywanie informacji o problemach, których nie można byłoby zbadać tak wszechstronnie i wnikliwie przy pomocy jedynie dotychczasowych metod nauki historycznej. Nowe środki pozwalają sądzić, że postulaty historii globalnej, wszechogarniającej, formułowane w licznych nowoczesnych nurtach nauki historycznej, będą mogły doczekać się urzeczywistnienia, w skuteczny sposób pozwalają historii na przezwyciężanie jej dotychczasowych ograniczeń jej zawężonego pola naukowej obserwacji. Rewolucja komputerowa w historii już się zaczęła i na podstawie tego, co już osiągnięto, można sobie wyrobić pogląd o jej ogromnym znaczeniu również dla tej starodawnej i zdawałoby się tak mało podatnej na wszelkie innowacje naukowej dyscypliny.

Bylibyśmy jednak w błędzie, gdybyśmy sądzili, że nowe metody i techniki badawcze we współczesnej nauce historycznej, to tylko zastosowanie maszyn liczących. Ostatnio znaczne zainteresowanie towarzyszyło innym obiecującym próbom zastosowania do historii zdobyczy nauki współczesnej, mianowicie badaniom polegającym na zastosowaniu do poszukiwań historycznych... fizyki jądrowej. Historia pozazdrościła po części archeologii, która od dawna potrafi wykorzystywać dla oznaczania czasu badanych przez siebie zabytków osobliwe właściwości pewnej odmiany węgla, zwanej C 14. Ale tym razem procedura badawcza jest bardziej skomplikowana.

Zaczęło się od badań nad monetami arabskimi z czasów średniowiecza. Grupa uczonych z profesorem A. Gordus na czele przystąpiła przy pomocy metody, którą nazwano „metodą analizy przez pobudzenia neutronicznego", do badania obszernego materiału numizmatycznego, celem dokładnego oznaczenia jego pochodzenia, miejsca wytwarzania, a nawet konkretnego zakładu mincerskiego, który go wyprodukował. Tradycyjne metody badawcze, bardzo pożyteczne i szacowne, nie dysponowały jak dotąd tak skutecznymi metodami badania kruszcu, nie mogły więc dostarczyć pełnych odpowiedzi na interesujące uczonych pytania. Rezultaty nowych poszukiwań okazały się tak interesujące, że postanowiono posłużyć się zaprezentowaną w nich metodą do analizy wielkiego problemu światowej i europejskiej historii gospodarczej, jakim jest rewolucja monetarna, jaka dokonała się w całej Europie w wyniku zalania jej hiszpańskim kruszcem w okresie po wielkich odkryciach geograficznych, która miała swoje ogromne reperkusje nie tylko ekonomiczne, lecz również w swych dalszych konsekwencjach i polityczne dla całego niemal ówczesnego świata.

Przystąpiono więc do... badań nad peruwiańskim srebrem z kopalń Potosi. Okazało się, że posiada ono charakterystyczne zanieczyszczenia, które przy pomocy nowoczesnych metod fizycznych mogą być stwierdzone nawet w wypadkach, kiedy peruwiańskie srebro występuje wraz z innym w najróżniejszych monetach europejskich. Inne źródła tego kruszcu, czy to z Meksyku, czy z Europy środkowo-wschodniej posiadają odmienne cechy charakterystyczne. W wyniku przeprowadzonych dotychczas badań okazało się, że srebro z Potosi występuje w monetach hiszpańskich dopiero od 1556 roku i trwa mniej więcej do końca pierwszego trzydziestolecia XVII wieku. Badania nad monetami francuskimi z tego samego czasu pozwoliły z kolei stwierdzić, że były one produkowane z kruszcu meksykańskiego bądź pochodzącego z Europy środkowo-wschodniej, jednakowoż nie z peruwiańskiego: ten ostatni docierał do Francji nie inaczej jak w postaci gotowych już monet, wybitych w Hiszpanii. Nie uzyskano jeszcze pełnego, zadowalającego wyjaśnienia tej zagadki; badania nie zostały doprowadzone do końca... W każdym jednak razie współczesna nauka historyczna zaatakowała ważki problem przy pomocy nowoczesnych metod badawczych i już uzyskała ważne rezultaty: dawne twierdzenie jakoby rewolucja cen we Francji była wynikiem zalania jej srebrem z Potosi okazało się być znacznym uproszczeniem. Trzeba tedy szukać nowych, niewątpliwie bardziej skomplikowanych, wyjaśnień zagadnienia...

Przytoczony przykład badań nad srebrem z Peru, razem ze znanymi nam już przykładami nowoczesnych badań historycznych, prowadzonych przy pomocy maszyn liczących, skłania jeszcze do jednej refleksji. Wiele mówi się od lat o niedostatkach kształcenia historyków, nie tylko w naszym kraju, o tym, że tradycyjne wykształcenie naukowe, nawet najlepsze, ale ograniczone jedynie do własnej, historycznej specjalności, przestaje dziś wystarczać w pracy badawczej. Dobitnym tego przykładem są właśnie wspomniane badania. Ale czy możemy wymagać od historyka, by był jednocześnie specjalistą od fizyki jądrowej i maszyn liczących, nie licząc wszystkich innych specjalności, które mogą być przydatne w badaniu historycznym? Jedynym rozwiązaniem – obok rozszerzania skali wiedzy samego historyka – okazuje się dziś być praca zespołowa, prowadzona razem ze specjalistami z różnych dziedzin nauki. Zadaniem historyka pozostanie jednak zawsze postawienie badawczego pytania: to zaś wymaga wiedzy nie tylko historycznej. Wszystkie znaczące osiągnięcia historii, uzyskane w wyniku zastosowania do niej nowych metod, nie będących tradycyjnymi metodami historii, są zdobyczami zespołowymi. Historyk przestaje być wyłącznym pisarzem dziejów, staje się... organizatorem badań zespołowych o charakterze interdyscyplinarnym.

LEKTOR

Wydawca: RSW „Prasa – Książka – Ruch" – Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-103, telefony 244-79, 217-98 oraz 293-00 wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6.50 zł, kwart. 19.50 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" – z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa – Książka – Ruch", Łódź, ul. Żwirki 17.
Zam. 1926. T-12. Nr indeksu 37006